№ 19. Warszawa, dnia 22 Lutego / 5 Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

# WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.



Młyn Zwierzyniecki w okolicach Wilna. (95).

# WCZASY WARSZAWSKIE.

## V. OPTYMIZM I PESSYMIZM.

Optymizmem nazywamy takie usposobienie, w którém człowiekowi się zdaje, że wszystko na świecie jak najlepiéj się dzieje i że świat nasz jest najlepszym ze wszelkich możliwych światów. Pessymizm jest wprost przeciwném usposobieniem. Nazwa zaś sama ztąd pochodzi, że przymiotniki łacińskie *bonus* i *malus*, dobry i zły, mają stopień najwyższy *optimus* i *pessimus*. Używając porównania, możnaby powiedzieć, że optymista patrzy na świat przez zabarwione na różowo okulary, a pessymista przez okopcone.

Z usposobienia jednostkowego w zapatrywaniu się na świat i bieg spraw ludzkich, wytwarza się teorya, to jest osobiste mniemanie wyrabia się w szereg rozumowań mających dowodzić prawdziwości owego mniemania. I tak powstały teorye optymistyczna i pessymistyczna. Ojcem pierwszéj jest Leibnic, rodzice drugiéj są nieznani ale za prawdopodobnych jéj życiodawców możnaby uważać wszystkich chorych i niezadowolonych ludzi. Dla tego też pessymistów jest więcéj na świecie niż optymistów, podobnie jak zdrowych na ciele i umyśle, oraz zadowolonych jest mniéj, niż chorych i niezadowolonych. Zobaczmy jak wyglądają teorye i ludzie, którzy dwa te kierunki myśli przedstawiają.

Jeżeli mowa o optymistach, to pytanie zachodzi, pod jakim względem świat nasz wyobrażają sobie najlepszym? Czy pod względem fizycznéj budowy? czy pod względem stosunków społecznych? Jeżeli pod pierwszym, to zaraz pytają ich pessymiści, po co istnieje jad wściekliztny, który o ile wiadomo nie ma żadnego zastosowania nawet w medycynie? po co ospa lub inna zaraźliwa choroba? jaki jéj cel? i czy ona także jest najlepsza? Takie pytania wprawiają w kłopot optymistów, bo ich sobie nigdy nie zadawali, patrząc na świat poetycznemi oczami. Być może, iż gdy lepiéj poznamy związek zachodzący między zjawiskami, pokaże się, iż choćiaż bezwarunkowéj celowości we wszystkich rzeczach fizycznych nie dojrzymy, zawsze jednak mniéj anomalij będzie trapiło nasz umysł, odnośnie do celu, jaki mogą mieć niektóre zjawiska świata fizycznego. Stronnicy bezwarunkowéj celowości w naturze są też i optymistami; ponieważ zaś celu każdego zjawiska wykazać niepodobna, jak np. trudnoby wskazać, dla czego we krwi lub płynach oka mieszkają maleńkie pasożyty, a w tych znów inne — przetoż optymiści teoretyczni uciekają się do zmyślania tego celu, i widzą go albo jako karę za jakieś przewinienie, albo jako wyjawienie pięknéj harmonii najlepszego ze światów. Pessymiści przeciwnie widzą w tych anomaliach potwierdzenie mniemania, że świat fizyczny mógłby być lepiéj zbudowany, że moglibyśmy mieć np. troje oczu, sześć lub więcéj zmysłów i t. p.

Człowiek obojętny na takie pytania powiada sobie: Świat jest takim jakim jest. Pytanie czy jest on najlepiéj zbudowanym lub czy mu czego brakuje, należy do wielu innych próżniaczych. Najlepszym lub najgorszym może on być odnośnie do nas, do naszych potrzeb lub wyobrażeń — sam w sobie nie jest ani złym, ani dobrym. Mędrzec chce poznać związek zachodzący między zjawiskami, to jest poznać przyczyny rzeczy, *causas rerum*. Gdy tego dopiął, nie chodzi mu o wyszukanie celu dla takich lub innych zjawisk; są one dobre lub złe w miarę okoliczności. Wtenczas tylko uderza nas nieprawidłowość danego zjawiska, gdy związku jego z innemi nie rozumiemy. Tak więc świat nie jest ani dobrze, ani źle zbudowany. Że w budowie, to jest składzie jego fizycznym jest mądrość, i że my poznając tę mądrość sami dopiero stajemy się mądrzejsi, to zdaje mi się być bardzo podobném do prawdy.

Jeżeli taki wniosek, to zapewne i świat społeczny jest także ani dobry ani zły? Tu cokolwiek inne rozumowanie, bo chociaż czyni się nieraz porównanie między światem fizycznym a społecznym, lecz porównanie jak wiadomo nie jest żadnym dowodem. Już zaś dla tego nie jest dowodem, że świat fizyczny, to jest jego pierwiastki i ich kombinacye nie są naszém dziełem, zastajemy je gotowe, ani dodać ani zniszczyć któregokolwiek z nich nie możemy. Świat społeczny przeciwnie jest po większéj części dziełem naszych potrzeb, namiętności, głupoty lub rozumu. Ludzie to sami tworzą pewne urządzenia ekonomiczne, polityczne i t. p., ludzie sami urządzają sobie oświatę, formy towarzyskiego pożycia i t. p.; zatém od ich głównie rozumu zależy bieg spraw społecznych. Świat tedy społeczny przerabia wola ludzka, która znów ze swojéj strony musi się poddawać prawom fizycznym, a chociaż i fizyonomię świata, to jest ziemi, po trosze przerabia, jednak tylko zgodnie z prawami fizycznemi czynić to może.

Pod względem zapatrywania się na świat społeczny także można widzieć optymistów i pessymistów. Żeby to czytelnikowi jasno przedstawić, wybierzmy z pomiędzy wielu, dwóch przedstawicieli tych dwóch wprost przeciwnych sobie wyobrażeń. Mam na myśli dwóch Francuzów: Bastiat'a i Proudhon'a.

Dwadzieścia kilka lat temu rozpoczęła się zacięta walka na polu dociekań ekonomicznych. Sprawy ekonomiczne bardzo żywo i ściśle wiążą się z moralnością prywatną i publiczną, ze sprawami finansowémi i administracyjnemi, słowem z całém życiem społeczném. Ci, co wyszli z szeregów humanitarnych, uderzyli zatém głównie na sprawy ekonomiczne, to jest na ich pojmowanie przez ekonomistów. Jako namiętny, często sofistyczny, ale zawsze niezrównany dyakletyk ze strony pessymistów wystąpił Proudhon. W pismach swoich głównie bił na fałszywe pojmowanie spraw ekonomicznych przez koryfeuszów ekonomicznych, obwiniając ich głównie o wielkie cierpienia dolegające społeczeństwu. Podług niego ekonomiści nie wiedzieli co znaczy wartość i cena rzeczy, co znaczy podział pracy, zamiana, co to jest własność, co małżeństwo, słowem potworzyli sobie jak najfałszywsze teorye, usprawiedliwiające krzyczącą niesprawiedliwość. Podług nich świat społeczny jest arcydziełem, jest najlepszym z najlepszych, jest rajem. Tymczasem na prawdę świat ten jest piekłem, prawdziwą doliną płaczu, rozbratu, nieładu, chaosu, który dopiero wtenczas ustanie, gdy ludzie pójdą za radami autora. Proudhon przesadził, strzał za tarczę przeniósł. Wnet się też zjawił zręczny, dowcipny, choć płytki kolega, który z innéj dudki zagrał. Był nim Bastiat, głośny wcale szermierz w owych zapasach.

Ekonomiści optymiści nie mogli w duchu nie uznać, że ich przeciwnicy mają wiele za sobą słuszności, że ten najlepszy z możliwych światów mógłby być lepszym, albowiem polepszenie leżało w ręku ludzi; zaczęli więc przyznawać, iż w istocie stosunki ludzkie nie są tak idealnie doskonałe, że machina zwana światem społecznym okrutnie czasami skrzypi, tak, że zagłusza koncert, jaki grali ekonomiści. Ale co tu począć? Złe można widzieć, ale usunąć go niełatwo; człowiek z najbystrzejszym rozumem i najlepszemi chęciami jest prochem w obec olbrzymiego zadania. Teoretyk w takim razie szuka rozwiązania, które na istniejące złe nie podaje lekarstwa, lecz usuwa pozornie sprzeczności, jakie mu pokazano. Bastiat tedy — lubo nie pierwszy — takie mniéj więcéj podał rozwiązanie: Prawda, złego jest dużo we wszelkich stosunkach zwanych społecznemi, ale złe to jest tylko chwilowém i czasowém, albowiem gdy ogarniesz całość faktów ekonomicznych, gdy się przyjrzysz światłu i cieniom, w końcu z tego podniosłego stanowiska przekonasz się, iż w stosunkach ludzkich jest harmonia, ład, mądrość, słowem i świat społeczny jest najlepszym ze światów.

Takie rozwiązanie bardzo podniosłe i pocieszające teoretyka, ani na jotę nie zmienia rzeczy dla tych, którym dokucza głód, brak swobody, trudność zarobku i t. d. Ich ta harmonia tyle obchodzi co deszcz, który nazajutrz po ich śmierci będzie padał. Czy za sto lub tysiąc lat w bilansie społecznym okaże się równowaga, owa harmonia zachwalana przez teoretyka, to nikogo ani ziębi ani grzeje. Jest to musztarda po obiedzie, a optymizm tego rodzaju dobry dla tych, co im się dobrze dzieje.

Trzeba przecież wyznać, że i lekarstwo, jakie pessymizm zaleca, wcale nie skutkuje. Bo i cóż on zaleca? Przewrócić świat do góry nogami. Wszelki postęp ku lepszemu nie odbywa się szalonemi skokami. Polepszenie bytu, czyli stosunków społecznych, nie zawisło od zmiany wyobrażeń o cenie lub zamianie rzeczy; zawisło ono od całego szeregu przeobrażeń w pojęciach teoretycznych, od uczciwości pracujących i pracodawców, od oświecenia robotnika, od wpojenia weń tego przekonania, że bezwarunkowa równość nawet co do korzyści materyalnych jest marzeniem, że musi poprzestawać na małém bez zgrzytania zębami na tych, co więcéj mają — nareszcie od zmian prawodawczych i ekonomicznych urządzeń. Świat więc społeczny nie jest najlepszym z możliwych, i od nas samych głównie zależy stopniowe ulepszanie tego, co jest złém. Tę zaś pociechę o powszechnéj harmonii interesów należy zostawić tym co się dobrze najedli i drzemiąc śnią o najlepszym ze światów, w jakim sami żyją.

Te naukowe zapatrywania się na cały świat fizyczny lub społeczny, któreśmy tu nazwali optymizmem lub pessymizmem, najczęściéj a prawie zawsze nie mają wpływu na tych optymistów, którzy, że tak powiem, są niémi z urodzenia. Wszakże wiadomo, że w codziennych stosunkach spotyka się takich nieustających płaczków lub śmieszków. Trzeba się i takim przyjrzeć. Zkąd ten tuzinkowy płacz i śmiech pochodzą? Trudna odpowiedź. Nie wiem już kto utrzymywał, że uczeni idealiści lub realiści idący za Platonem lub Arystotelesem już się takimi rodzą, że mózg ich tak utworzony, że jedni lubią marzenia, drudzy rzeczywistość. Gdyby tego można było dowieść, łatwoby było zrozumieć walkę idealizmu z realizmem, które nie mogą się pobić i zwyciężyć dla tego, że już z człowiekiem przyszły na świat i z nim się skończą. Bądź co bądź, możnaby co do optymizmu i pessymizmu położyć takież przypuszczenie. Gdy do tego dodamy, że jednemu człowiekowi dopisuje zdrowie fizyczne, drugi ustawicznie kwęka, że jeden dobrze trawi i ma co trawić, a drugi nie może albo nie ma czego trawić, że jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą; gdy mówię do naturalnego usposobienia dodamy okoliczności wynikające ze stanowiska i stosunków, w jakich kto żyje, będziemy mieli objaśnienie zwyczajnego optymizmu i pessymizmu.

Obaj mierzą świat sobą, i dla tego każdy w nim co innego na wynik otrzymuje. Bez przesady możnaby ludzi podzielić na optymistów i pessymistów. Spotkaj znajomego i spytaj się, co słychać? A, źle mości dobrodzieju, tak źle, że nawet w sądny dzień gorzéj nie będzie. Spotkasz drugiego: ten mówi, że wszystko jak najlepiéj na tym naszym świecie. Tych ostatnich mniéj bywa, ale się znajdują. Dobrze trawili i dobrze spali, kieszeń nie pusta, uciechy życia coraz nowsze; i czemuż na świat narzekać?

Jakkolwiek będziemy ich sądzili, pessymiści są gorsi, bo zniechęcają i siebie i drugich do pracy, zapominając, że nie ma tak złéj drogi, przy pomocy któréj nie możnaby zbudować lepszéj. Pessymizm jest trucizną, lekarstwo na niego w tych słowach: W górę serca, ręce do pługa!

Można się przekonać, rozważając dzieje narodów, że tylko półoświecone, wyobraźnią żyjące społeczeństwa, dają najlepsze przykłady dziecinnego popłochu, lub równie dziecinnéj ufności, raz się śmieją, drugi raz płaczą, a zawsze bez téj świadoméj energii duchowéj, dla czego się śmieją lub płaczą. Gdy dzicy mieszkańcy Azyi lub Afryki ujrzeli zburzoną glinianą twierdzę, w któréj czuli się niezwyciężonymi, ogarnia ich popłoch i uciekają daléj, póki jeszcze uciekać można. Tak bywa w prywatnych stosunkach człowieka niedoświadczonego i młodych społeczeństw. Niebezpieczeństwo samo z siebie niewielkie wyobraźnia w olbrzymie przybiera kształty, i człowiek zamiast w głowie i pięciu palcach szukać wyjścia z trudności, pessymizmem się pociesza i fatalizmem po turecku wszystko tłómaczy.

Z tego co powiedziano, można widzieć, że teoretyczni, uczeni optymiści, lub pessymiści zwykle niewiele pomagają i niewiele szkodzą przebiegowi spraw ludzkich; daleko niebezpieczniejsze są te usposobienia, gdy massę nierozumiejących ogarną. Trudno téj massy przekonać, że dobre lub złe losy mogą być zmienione tylko własną energią. Rozumowanie do niéj nie sięga. Jedynie przykład żywy oświeceńszych, ich krzątanie się około przysporzenia dóbr materyalnych i oświaty, mogą oddziaływać na ospałych i płaczących. Optymizm i pessymizm mogą sobie wiecznie pozostać, ale od nas należy, by mniej było pessymistów.

*Krupiński.*

# PRZEGLĄD LITERACKI.

## LUD,

Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił O. Kolberg. Serya V, Krakowskie.— Kraków 1871 r.

O ile porównywamy liczbę poważnych książek z lat 1840 do 1860 z temi, które wyszły po roku 1860,— o tyle przyjemniéj nam teraz witać każdą rzecz nową, przybywającą dla nauki w literaturze naszéj. Do takich zaliczyć trzeba wydaną niedawno w Krakowie seryę V-tą wydawnictwa Oskara Kolberga p. t. *Lud.*

P. Kolberg już od roku 1840 zbierając pieśni i melodye ludu, podawał najpierw wielkopolskie w *Przyjacielu ludu*, który wychodził w Lesznie, i w pięciu zeszytach wyszłych w formie nut w Poznaniu. W roku 1857 wydał w Warszawie *Pieśni ludu polskiego*, które stanowią pierwszą seryę wydawnictwa *Lud*. W seryi drugiéj pomieścił autor *Sandomierskie*, a w dwóch następnych *Kujawy*. Serya V-ta rozpoczyna *Krakowskie*, które trzema takiemi seryami ma być objęte. Żadna okolica kraju nie ma tylu opisów ile krakowska: Ł. Gołębiowski, J. Mączyński, K. W. Wójcicicki, L. Siemieński, J. Konopka, J. Łepkowski, Wł. Anczyc i wielu innych, nagromadziło materyał ogromny, ale w kierunku etnograficznym niewyczerpujący; zwłaszcza część muzykalna słabo była traktowana. P. Kolberg przedsięwziął w trzech swoich seryach wszystkie te materyały zużytkować i liczne niedostatki uzupełnić.

Pisaliśmy o tém dawniéj („Obchody weselne"), że dzisiejszy postęp umiejętności historycznych wywołał nowe potrzeby i zmiany w naukach pomocniczych historyi, w których rzędzie etnografia czyli nauka o pochodzeniu, pokrewieństwach i sposobie życia narodów, nowe a ważne zajęła stanowisko. Bada ona przeważnie człowieka stojącego na stanowisku natury, gdzie wszystko jest przyrodzoném. Maluje cały sposób życia ludów, ich zwyczaje, charakter, mowę, zabawy i wyobrażenia, zapisuje ich podania, bajki, pieśni i muzykę narodową. Gdy warstwy wyższe narodu zostają pod wyłącznym wpływem cywilizacyi, — etnografia ma jeszcze szerokie pole studyów nad ludem. Lecz aby cośkolwiek budować, trzeba przygotować materyał do tego potrzebny,— aby nauce zapewnić rozwój, trzeba także wprzód zebrać wyczerpujące materyały dla budowy. O ile lud szybko się dziś przekształca i pozbywa wielu cech dawnych a charakterystycznych, o tyle konieczne jest rychłe, a wierne zdjęcie obrazu całéj jego dzisiejszéj istoty, w najobszerniejszém znaczeniu tego słowa. Na pozór wydaje się łatwą rzeczą malować nagą naturę, a jednak znakomici tylko malarze potrafili na płótno przenieść jéj podobiznę ze wszystkiemi odcieniami. Tak samo rzeczy się mają gdy pędzel mamy zastąpić piórem, i ztąd nie wielu naszych pisarzy potrafiło dać wierny a wszechstronny obraz ludu ze wszystkiemi tajemnicami jego obyczajowo-rolniczego życia. Do takich malarzy ludu należy u nas pan Kolberg. Obrazy jego nie mają barw wyszukanych i kwiecistych, bo w opisy mało się autor wdaje, gromadzi tylko tysiące szczegółów, które same wytwarzają obraz zgodny z naturą. Lud też jego nie idealny i wysoce poetyczny, ale taki jaki jest: rubaszny, szczery, pracuje, śpiewa, tańczy, podpija i wymyśla, pełen zabobonów, zwyczajów, przypowieści, przestróg moralnych i gościnności. Tylko podobny obraz naszego ludu, może się przydać dla badaczy dzisiejszych i najpóźniejszych.

W przedmiocie do V-téj seryi są uwagi nad muzyką tańców krakowskich. P. K. jest podobno dziś jedynym krytycznym badaczem naszéj ludowéj muzyki, a zebranych melodyj z ich waryantami już drukiem ogłosił około 2,000 i wiele ma jeszcze nieogłoszonych. Wiedząc o znaczeniu melodyi ludowéj w studyach etnograficznych i wpływie jéj na muzykę narodową, łatwo ocenimy użyteczność prac pana K., stanowiącą główne pole jego zasług, na którém nie wiemy czy dorównał mu kto za granicą. Témbardziéj życzyćby należało, aby wszystkie swoje rozprawy krytyczne nad muzyką ludową, rozrzucone dotąd po pismach peryodycznych i seryach *Ludu*, autor zebrał, dopełnił i w jednéj ogłosił książce. Gdy krytyczne studya p. Kolberga odłożymy dla specyalnych badaczy muzyki, to pozostanie nam jeszcze przepełniająca całe wydawnictwo mnogość pięknych wesołych i rzewnych melodyj, która czyni dzieło niezbędném i miłém w każdym domu posiadającym fortepian i serce przywiązane do nadobnych swojskich rzeczy.

Po przedmowie następuje historyczno-topograficzny opis Krakowa i jego okolic, będący jak sam autor powiada streszczeniem niektórych prac Amb. Grabowskiego, J. Mączyńskiego, Łepkowskiego i innych. Znajdujemy tu wiele szczegółów nie mających związku z etnografią lecz z innemi naukami, nie można jednak gniewać się za nie, boć zbytek wiadomości nikomu nigdy nie zaszkodził. Daléj następuje opisanie ludu krakowskiego, a w szczególności: Prądniczan, Podgórzan, Kijaków, Ogrodników, Skawiniaków, Swiątniczan, Kopieniaków, Górników i t. d. Wolelibyśmy tu zamiast cytowania całych prawie opisów Mączyńskiego, Anczyca i innych, wiedzić krytyczny przegląd wszystkich dawniejszych prac o ludu krakowskim. Że jednak autor uznaje sam źródła powyższe, i słusznie zresztą, za wiarogodne,— nie myślimy więc bezwarunkowo obstawać przy naszéj uwadze.

Rozdziały następne o ubiorze, żywności, wsi, sprzętach domowych i narzędziach rolniczych są traktowane w sposób tak sumienny i wyczerpujący, że nie prędko znajdzie się teraz kto do wzięcia pióra w tym samym przedmiocie po panu Kolbergu. Dodają wartości opisowi liczne rysunki sprzętów, narzędzi, dworków, chat, wnętrzy mieszkań i t. d. Dla badacza są one konieczne, a pospolitemu czytelnikowi wielce uprzyjemniają czytanie książki i tak już miłéj i przystępnéj. 15 drzeworytów odnosi się do ubiorów miejscowego ludu, które nie były nigdzie dotąd tak szczegółowo opisane.

Dawszy obraz okolic Krakowa, domu, żywności, ubioru, zajęć i charakteru ludu, podaje pan K. opis jego zwyczajów, gier i zabaw. Trzyma się tu autor porządku chronologicznego. I tak zacząwszy od wilii Bożego Narodzenia przechodzi do szopek czyli jasełek, Nowego roku, śmigusu, rękawki, konika zwierzynieckiego, sobótki, zaduszek i kończy na mikołajkach, opisawszy 46 różnych zwyczajów do pewnych dni i pór roku przywiązanych. Zasługują tu na szczególną uwagę szopki czyli jasełka i kolendy, ze względu na mnóztwo zebranych pieśni i odwiecznych melodyj. Po zwyczajach idą gry i zabawy, jak: żuraw, gąska, sitko, cecha, złota kula, zajączki, pani Róża i inne. W następnych seryach będą dopiero podane słynne piosnki krakowskie i melodye, zwyczaje weselne, klechdy i t. d.

W przypisach zakończających seryę V, obok rzeczy, które nie należało może tu przedrukowywać (np. wezwanie od Towarzystwa trzeźwości i formuła przysięgi, Kraków 1844 r.), znajdujemy ciekawe zabytki, jak inwentarz wsi Modlnicy z r. 1582. Są to szczegóły ważne do historyi naszego rolnictwa i życia codziennego w domu. Podobnych inwentarzy z w. XVI i XVII mamy dosyć po archiwach domowych, ale wydanych mało. Przytoczony tutaj jest ciekawszy od inwentarza starostwa Wałeckiego z r. 1619, który podał W. A. Maciejowski w dziele „Polska i Ruś" III, 314. Szkoda tylko, że p. K. nie zamieścił tego dokumentu w całości. Z inwentarza widzimy, iż w *golembiencu* przy dworze modlnickim było przeszło 30 par gołębi. Gospodarstwo było trzypolowe, a „grunt urodzy gdy szye bendzye dobrze nawozyło, jako za ś. p. Salomona (dawnego dziedzica) bywał." Zbierano wtedy po 700 kop pszenicy i więcéj, ale „therasz thy pola bardzo wipłoniały: bo w ugorach zawsze ssiano tatarky; powozów (umierzwień) namniéj nie czyniono, tak bowim szlome iako i sciana (siano) przedawano."

Widzimy z sądowych ksiąg krakowskich z roku 1398 (Lud, V, 353), iż niektóre nazwy pól modlnickich przechowały się z w. XIV do dzi-

siaj. Dowodzi to, jak ważne byłoby teraz spisanie wszystkich nazw miejscowości, pól i uroczysk w całym kraju, gdyż wiele z nich sięga czasów piastowskich, a obecnie idzie w zapomnienie z różnych przyczyn. P. K. w seryi IV podał nazwy rzek, strumieni, jezior, wzgórz i błot kujawskich; w seryach dalszych Krakowskiego mamy nadzieję otrzymać więcéj podobnych materyałów.

Kończąc tych kilka pobieżnych słów o V seryi *Ludu*, nie możemy ukryć żalu, że podobno z powodu niedostatecznego poparcia tego wydawnictwa ze strony publiczności, wiele zebranych z trudem przez p. K. materyałów pozostać musi w jego tekach. A jednak są te rzeczy bardzo ważne i na dobie. Wcale nie dla tego mówimy: bardzo ważne, żebyśmy należeli do uważających lud za starożytną mumię, która w atmosferze swego konserwatyzmu i wiejskiém zaciszu, niby owinięta w przedhistoryczne płótno, przechowała wszystko z czasów pogańskiéj Słowiańszczyzny. Nie mniéj jednak dalecy jesteśmy od mniemań R. Berwińskiego, który w swoich *Studyach o literaturze ludowéj*, olśnił niektórych erudycyą, ale niczego nie wyjaśnił i nie zbudował.

Lud zawsze był pod wpływem klass wyższych i nie stanowił u nas nigdy oddzielnéj, zamkniętéj w sobie kasty. Jeżeli w obec prawi w życiu publiczném nie był równy szlachcie, to w domu, w pożyciu gospodarskiém wieś z dworem, który stał wśród niéj, stanowiła jedną patryarchalną i obyczajową całość. Ta łączność pod względem zwyczajów, wiary, nawet codziennego stroju, języka i wyobraźni, jest dziś dla nas prawie niezrozumiałą, a jednak była w całéj sile. Lud żył wspólną ze szlachtą staropolszczyzną, a obok niéj przejmował bezwiednie od szlachty całą jéj szlacheckość, stawał się jéj prostaczém odzwierciedleniem. Gdy szlachta wypolerowała się z czasem i tém samém od ludu oddaliła, ten przechowuje dotąd w sobie ową staropolskość i szlacheckość, i ma jéj nierównie więcéj aniżeli starych zabytków pogańskiéj słowiańszczyzny. Błędnie zatém wszystko co dziś lud posiada, uważa wielu za wyłączną jego dziedzinę i własność. I tak dzisiejsze zabobony i przesądy ludu były jeszcze przed 200 laty zabobonami szlachty, a pieśni śpiewane i drukowane przez szlachtę w XVI i XVII w. śpiewa dotąd lud (*Dama dla uciechy młodzieńcom i pannom,—Kiermasz wieśniacki* Jana z Wychylówki i t. d.). Dzisiejsze wesela ludu są tylko echem dawnych obrzędów weselnych wspólnych niegdyś wszystkim warstwom narodu (ob. pracę naszą „Obchody weselne” przez Pruskiego). Ubiory i typy ludu są tylko resztkami dawnéj wspólnéj ze szlachtą staropolszczyzny, a nawet pojęcia najbardziéj szlacheckie, przez szlachtę dziś zapomniane, lud przechowuje dotąd. Te twierdzenia nasze nie są nowe: — Jan Czeczot i inni to samo już dawno wyrzekli. Studya nad ludem nie tylko nie tracą przeto swojéj wagi, ale owszem zyskują, boć ta staropolskość i szlacheckość jest także latorośla narodowéj dawnéj cywilizacyi na prostaczym pierwotnym pniu starosłowiańskim. A i większe ma znaczenie wszystko co było wspólne społeczeństwu, a niżeli każda wyłączność kastowa. Sama mowa ludu jest także bogatą skarbnicą staréj językowéj polszczyzny. Mnóstwo wyrazów i wyrażeń pisarzy naszych wieku XVI słyszymy dziś tylko w ustach ludu. Słusznie p. K. we wszystkich seryach *Ludu* podaje próby miejscowych dyalektów; jego też prace stawiamy za najlepszy wzór dla zbierających materyały etnograficzne. A jak z jednéj strony serdecznie zachęcamy głównie do zbierania i uzupełniania tych ginących z dniem każdym materyałów — tak z drugiéj, poznanie literatury naszéj wieku XVI i XVII, zalecamy jako klucz do zrozumienia naszego ludu.

*Zygmunt Gloger.*

---



Byk Farnezyjski. (97).



Straż nocna Rembrandta. (96)

# HEROD-BABA

## OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

*(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 18.)*

Teatr znowu był pełen i pani Zygmuntowa nie mniejszą niż po raz pierwszy obudziła ciekawość. Skoczki popisywali się także, lecz panny Duparc tego dnia na scenie nie widziano; powiadano, że zachorowała.

W chwili wyjścia, wojewoda przyszedł do Elżuni, podał jéj rękę i zaprowadził na galeryę, którą król J. Mość miał na pokoje powracać... Pani Piętkowa nie doznała wcale tego wzruszenia, jakieby podobne szczęście w każdéj innéj wzbudziło; szła bardzo śmiało; a gdy w dali ukazał się August II otoczony świetnym dworem, strojny i jaśniejący klejnotami, w które ubierać się lubił, patrzała nań niezachwianém okiem... więcéj ciekawa i zdumiona niż wylękła. Wojewodę August postrzegł z daleka i głową mu skinął... Tego dnia cierpiący był na nogi, które już wówczas zaczynały nabrzmiewać, z czego późniéj ostatnia choroba się wyrodziła; opierał się na lasce, i twarz zdradzała ból ukrywany, uśmiechał się jednak, mimo lat grać chcąc zawsze rolę zalotnika i siłacza. Piękna twarzyczka Elżusi zwróciła jego oko zdające się w niéj lubować; wzdychał patrząc na nią, jakby żałował lat upłynionych.... Gdy August II podszedł... a pan wojewoda nizko się kłaniając przedstawił swą klientkę, król zapytał, trochę złamanym językiem, czémby mógł jéj służyć?

Elżunia zarumieniła się, podniosła oczy, które były łzami zaszły, i poczęła mówić, ośmielając się za każdém słowem.

— N. Panie! przybyłam prosić W. K. Mości o protekcyę i sprawiedliwość — zostałam przez mego męża zdradzoną dla nikczemnéj zalotnicy. potrzebuję zerwać ten węzeł, który mnie łącz, z człowiekiem splamionym i bez serca.

— Jakto bez serca? przerwał król żartobliwie, miał go widać aż nadto, kiedy niém tyle osób obdzielał?

— N. Panie, u nas na wsi wszystko się dzieli oprócz serca małżonków, które albo całe do siebie należeć muszą, lub ceny już żadnéj nie mają, odpowiedziała Elżunia. Myśmy ludzie obyczajów prostych i nazywamy każdą rzecz po nazwisku... Mój mąż jest marnotrawcą i rozpustnikiem.

Król, który nie zupełnie sam czysty był w sumieniu pod tym względem, skrzywił się nieco.

— Nie należy być tak srogą i nieubłaganą, rzekł. Młodemu się wiele wybacza... mąż pani wrócić może...

— Do domu, ale nie do mnie—zawołała Elżusia energicznie... Przy dawnych ucztach N. Panie, gdy kto nieczysty rękę włożył do półmiska, drudzy już z niego nie jedli. Ja jestem tego obyczaju!— Proszę więc W. K. Mości o protekcyę, aby mnie do pożycia z nim nie zmuszano.

August II słysząc zapał i widząc gniew z jakim te wyrazy wymówiła,— przypatrując się ognia pełnym oczom Elżuni, uśmiechał się, niby przypomnieniom dawnych czasów. Któż wie? Cosel może przyszła mu na myśl i jéj niepohamowane gniewy a groźby...

— Zaprawdę—pani wybaczoną być może taka surowość, bo kto na nią spojrzy, winowajcy nie przebaczy... ani go nawet zrozumie!! Czy mąż pani ślepym nie był? zapytał król uśmiechając się.

Elżunia spuściła oczy smutnie.

— Komukolwiek przysiągł, N. Panie, z dobrą i nieprzymuszoną wolą, winien był jako człowiek uczciwy dochować przysięgi—jakbykolwiek wyglądała ta, któréj ślubował! rzekła pani Piętkowa.

— Ach! ach! opierając się na lasce począł August, który snadź w téj rozmowie smakował: przysięgi serdeczne rzadko kiedy się dochowują, bo nad sercem, piękna pani—władzy nie mamy!

— Nie idzie mi już o serce jego, zawołała Elżusia—ale o uczciwość! publiczną taką dom okryć i mnie sromotą!

— A! pani jesteś surową! nadto surową! nielitościwą! śmiejąc się z przymusem jakimś mówił król—młodym się wiele wybaczać powinno.

— Tak, póki są młodzi, N. Panie! kto się żeni ten młodym być przestaje!

Król oczy tylko silniéj otworzył i brwi podniósł najjaśniejsze do góry—dworzanie zaś zdumieni i zgorszeni tak przewrotną nauką, mieli miny przelękłe... Spoglądając na siebie, jakby pytając, zkąd się taka kobieta tutaj wziąć mogła, obawiali się, by August II nie obraził się mową tak śmiałą. Byłoby to może ten skutek wywarło, gdyby z innych ust pochodziło: — twarzyczka Elżusi nie dozwalała gniewać się na nią — była nadzwyczaj piękną.

Dokończywszy, skłoniła się nizko; król chciał iść, wstrzymał się, szepnął coś marszałkowi dworu, marszałek przyszedł z tém poselstwem do wojewody, a ten wytłómaczył pani Piętkowéj, iż N. Pan życzy ją sobie widzieć na dworze swoim, i na jutrzejszym balu w zamku.

Ponieważ August jeszcze jakby oczekując odpowiedzi, stał i patrzał — Elżusia zbliżyła się ku niemu.

— Darujesz rzekła N. Panie, że dziękując za jego łaskę, rozkazom zadość uczynić nie będę mogła. W mojém położeniu nie przystoi pokazywać się publicznie... a smutną twarzą i humorem popsułabym tylko W. K. Mości zabawę.

Dygnęła i cofnęła się po tych słowach. Śmiałe to odmówienie dziwić nadzwyczaj się zdawało i króla, i marszałka, i wojewodę, i tych co je dosłyszeli—król się jednak nie obraził, pochlebiło mu to, że go mimo lat i pedogry za niebezpiecznego uważano. Skłonił głową z bardzo wdzięcznym i przymilającym uśmiechem, ręką ją pozdrowił raz jeszcze, i opierając się na lasce poszedł daléj. Za nim cały dwór począł ciągnąć majestatycznie, i nieprędko wojewoda mógł podawszy rękę swéj protegowanéj zaprowadzić ją do miejsca gdzie stały lektyki. Stryj Eligi, niemy i bierny świadek całéj sceny téj, karku tylko sobie nałamał ukłonami, a teraz cisnąc się zdążał za synowicą, szabelkę ściskając w ręku—z wielką w sercu boleścią. Był od króla o kilka kroków tylko, a do ręki jego docisnąć się nie mógł, i mozolnie usmażonego łacińskiego komplementu nie powiedział!

Lecz, stało się! nie rozpaczał: nowiusieńkie buty kurdybanowe i łacina owa na drugi raz jeszcze przydać się mogły. Gniewał się tylko trochę na synowicę, która tak pięknego zaproszenia królewskiego przyjąć nie chciała!... Powtarzał też po cichu, usprawiedliwione teraz poniekąd wykrzykniki:—Herod-baba!

W bramie, kędy stały lektyki, zalegał do koła tłum ciekawych, noc była pogodna i piękna. Ci, co do zamku wcisnąć się prawa nie mieli, chcieli być przynajmniéj świadkami jak goście z niego odpływali, przypatrując się strojom i twarzom. Pomiędzy ciekawych nie przypadkowo, ale z rozmysłem wcisnęli się Trzaska i Borodzicz, nie spuszczając z oka lektyki pani Piętkowéj. Stanęli zakrywszy się, aby ich nie postrzeżono, jak mogli najbliżéj... Przyczyną téj zasadzki było że Trzaska tegoż dnia w gospodzie przez przepierzenie wysłuchał całéj narady między Piętką a Dzięba, umawiającymi się o porwanie jejmości... Wiedział więc Trzaska, że tragarze byli przekupieni i że lektykę na pirneńskie przedmieście nieść mieli,—a zarazem, że Piętka i Dzięba we dwóch tylko z lektyki Elżusię pochwycić się spodziewali, nikogo więcéj nie mając do pomocy.

Trzaska natychmiast skoczył do Borodzicza, opowiedział mu wszystko, i we dwóch także byli pewni tamtym dwu podołać, a panią swą obronić. Stanęli więc dopytawszy lektyki, pewni, że się im ona nie wymknie... Ale w chwili wsiadania Elżusi, nacisnął się tłum, zepchnięto ich trochę, tak, że ledwie Borodzicz na palcach się spiąwszy, dojrzał gdy już wieko zamykano téj, do któréj jejmość wsiadła, a gdzie był p. Eligi. W pierwszéj też chwili nie mogli się tak łatwo wydobyć ze ścisku i podążyć za drążnikami. Dopiero nieco daléj biegiem już zaczęli ścigać lektykę. Lecz im oni skorzéj za nią szli, tém tragarze lepiéj kłusując uchodzili.




**ZASIĘGANIE JĘZYKA,**
Obraz J. Kossaka z pamiętników Paska.

Zaraz za bramą zamkową, wyminąwszy gąszcz ludzką, ci co nieśli Elżusię, porozumiawszy się znakami ze stryjaszka drążnikami, rzucili się w lewo i puścili uliczką po podmury w dół: stryja zaś Eligiego poniesiono żawo na prawo w ciasne przejście ciemne...

Trzaska i Borodzicz co chwila potrącani, biegli jak mogli zadyszani za lektyką, nie doścignając jéj jeszcze, bo coraz nowe znajdowali przeszkody... Ludzie niosący umyślnie zdaje się puszczali się w najkrętsze uliczki i łamane jakieś przejścia, tak, że Borodzicz i Trzaska ledwie mogli na oko ich złapać... by lektyki nie stracić.

Wreszcie dopędzili tak pirneńskiego przedmieścia i szerszéj nieco ulicy, w któréj księżyc padał. Borodzicz ujrzał zaraz na progu jednego z domostw, stojących we drzwiach Zygmunta i Dziębę... Byli sami i bez broni... drążnicy zwolnili kroku tak, że Trzaska miał czas nadbiedz i Borodzicz, który już szabli dobył, z przełaju przeciw lektyce zajść... Tylko co ją postawiono na bruku i wieko podniesiono, a Zygmunt z Dziębą przypadli do otwierających się drzwiczek, tuż na karku już mieli Trzaskę i Borodzicza....

Elżusia wysiadając zobaczyła męża i z podziwu krzyknęła, ten ją już pochwycił za ręką, a Dziemba miał wziąć za drugą, gdy Borodzicz nie czekając dłużéj płazem go po grzbiecie tak smagnął, iż Julek odwrócić się nagle zmuszony, pośliznął się i padł pod nogi; Trzaska uderzył prawie równocześnie Zygmunta...

Drążnicy widząc to, pasy nawet porzuciwszy zbiegli, aby się skryć co najprędzéj. Dziemba też przestraszony uderzeniem, zerwał się, i nie czekając więcéj, wpadł do domu, którego drzwi za sobą zatrzasnął.

We dwóch Borodzicz i Trzaska chwycili teraz pana Zygmunta, którego im łatwo było przytrzymać, tak, że kroku ruszyć nie mógł; klął tylko i rwał się a odgrażał napróżno.

Elżusia już była wyskoczyła z lektyki, rękę trzymając u pasa, za który w czarnéj pochwie zatknięty miała zawsze puginał. Poznała po głosie męża i swoich niespodzianych obrońców, lecz cała ta przygoda dziwną, niezrozumiałą się jéj wydała.

— Co to jest? zawołała—gdzie ja jestem? jakim sposobem tu się znajduję?... Co on tu robi?

Wskazała palcem męża.

— Niech się pani nie lęka—przypadając nieco ku niéj, o ile ręka dozwalała, rzekł Borodzicz — był to spisek łotrowski na panią, który pan Trzaska odkrył przypadkiem... Ludzie z lektyką byli przekupieni przez Zygmusia... Dzięki Bogu w poręśmy się znaleźli...

Zygmunt rwał się i szamotał ciągle, pieniąc z gniewu. Elżusia z brwią namarszczoną, groźna postąpiła ku niemu.

— Czegożeś to odemnie chciał żeś musiał aż gwałtu użyć i zdrady, aby się widzieć z żoną? zawołała... Mogłeś przecię gdybyś miał odwagę, czoło pokazać, przyjść w biały dzień... Wiedziałeś, że tu jestem, ale nie wiesz po com przybyła... Przybyłam pierścień twój ślubny rzucić ci w oczy. Daj go téj, któréj łańcuch prababki powiesiłeś na szyi, ukradłszy go z domu. Wstyd i hańba... *(d. c. n.)*

## BYK FARNEZYJSKI.

Grecy mieli nie małą liczbę przypowieści etycznych i moralno-filozoficznych, które służyły im za treść do dramatów, tragedyi i najznakomitszych dzieł sztuk obrazowych; do takich należała powieść o Cetusie i Amphionie synach Antiopy. Podług Pliniusza ta mało-azyatycka powieść wielokrotnie w rzeźbie powtórzona, była następującéj treści moralnéj: Córka Antiopy dręczyła matkę swą najrozmaitszemi sposobami, pragnąc nareszcie pozbyć się jéj na zawsze namówiła braci, młodych pasterzów, aby przywiązawszy tę niewiastę do rogów byka, stracili ją. Szczęśliwym sposobem w chwili przygotowań Cetus i Amphion którzy się byli wychowali zdala od matki, poznani zostali przez nią, a kara przygotowana dla Antiopy, spełnioną została przez braci na niegodziwéj siostrze.

Jako dzieło sztuki jest to owoc poczynającéj już przekwitać rzeźby greckiéj, znamieniem przekwitu jest dążenie do malowniczości w rzeźbie, a jakkolwiek w tém arcydziele piękne i pełne prostoty kształty młodzieńców i niegodnéj ich siostry tchną jeszcze zasadami najpiękniejszéj epoki sztuki greckiéj, wszakże gwałtowność i rzutność ruchów niewłaściwa posągom okrągłym nie mało wpływa na rozerwanie wrażenia całości.

Autorami téj gruppy byli dwaj rzeźbiarze *Apollonius* i *Trales* Karyjczycy ze szkoły Rodyjskiéj, téj saméj któréj owocem jest sławna gruppa Laokoona.

Farnezyjską nazywa się ta gruppa, ponieważ odgrzebana w ruinach pałacu Cezarów w XVI wieku, dostała się domowi Farnezich i z skarbami onego przeszła w dom Neapolitański gdzie się obecnie w zbiorach państwa znajduje.

## STRAŻ NOCNA

R E M B R A N D T A.

Straż nocna jest jednym z najznakomitszych i największych pod względem rozmiarów obrazów jakie wyszły z pod ręki najznakomitszego, a przynajmniéj niewątpliwie najoryginalniejszego w pomysłach holendra Rembrandta van Ryn.

Nosi on tę nazwę z powodu oświetlenia bardzo jaskrawego głównéj gruppy, zdaje się jednak, iż nie było zamiarem autora wyrazić tu noc, łagodne bowiem, szerokie w wielu miejscach, rozpostarcie światła, jego odcień bardziéj żółtawy niż czerwony, najwyraźniéj na to naprowadzają, tylko silne czarne prawie cienie które Rembrandt lubił przeciwstawiać światłom, dla podniesienia ich jaskrawości, o nocy lub zmierzchu coś opowiadają.

Obraz ten w którym sportretowani są ówcześni miejscowi dostojnicy amsterdamscy, J. B. Kock, Pumerlandt i Ilpedam przedstawia istotnie jakąś wyprawę straży, a był zapewnie niczém inném jak jednym z praktykowanych w ówczesnéj sztuce zbiorowych portretów towarzystw strzeleckich. Energia i życie jakiemi tchnął każdy krok w sztuce postawiony przez Van Ryna spowodowały to zapewne, iż zwyczajne grono portretowe zamieniło się na obraz dramatycznego pokroju.

Co do epoki z jakiéj praca ta pochodzi, to sposób malowania, światło żółtawo białe panujące tu świadczą, iż je utworzył Rembrandt w najświetniejszéj epoce swéj działalności, niema tu zimnobiałéj jaskrawości pierwotnych jego dzieł, ani czerwonawego odcienia i przyćmienia ostatnich; świetna ta epoka była zarazem epoką jego szczęścia domowego w pożyciu z pierwszą żoną jego pomyślności materyalnéj i wpływu na wielkie grono uczniów którzy się do niego cisnęli.

Straż nocna znajduje się obecnie w zbiorze miejskim amsterdamskim.

## ZAKRET POD WILNEM.

Okolice Wilna, jakkolwiek „do Włoch na pokaz nie wożą ich w obrazkach”, niewiele sobie równych w piękności mają nawet nad Renem, lub Adygą a témbardziéj na naszych równinach. Pomiędzy temi okolicami niezaprzeczenie pierwszeństwo trzyma dolina rzeki Wilenki zwana Poprawami, na wschód od Wilna; tuż zaś poniéj co do krasy przyrody idzie część doliny Wilii, dawniéj zwana Zakrętem dzisiaj zwana *Zakretem*, na zachód od miasta.

Wilia, która przez Wilno sunie się między dość wyniosłemi, ale równemi brzegami, za miastem napotyka szereg wzgórz piętrzących się jedne nad drugiemi, wśród których przebojem torując sobie drogę, wije się w fantastyczne zakręty, podrywa strome brzegi, pasuje się z pokładami z kamieni, aż odbiwszy się o nieprzebytą tamę łańcucha gór Ponarskich, pokonana, lecz zawsze harda i majestatyczna, zwraca się ku północy. W jednym z tych zakrętów, na równéj wyniosłości prawego brzegu rzeki, roztacza się *Zwierzyniec* niegdyś Radziwiłowski, który przez związki małżeńskie jedynéj córki znanego księcia Dominika z księciem Sayn-Wiltgensteinem, przeszedł we władanie potomka tego ostatniego, i bywa niekiedy letnią rezydencyą generał-gubernatorów mieszkających w Wilnie. Dom udatnéj struktury, ocieniony lasem na wyniosłym brzegu Wilii, bywa ich podówczas siedliskiem.

Przed laty za Radziwiłów wyprawiano tu huczne popisy polowania, na które zwożono niedźwiedzie, łosie i sarny o mil kilkadziesiąt z puszcz nalibockich; obecnie dzikiego zwierza w tym uroczym lasku sosnowym szukać daremnie, zostało tylko nazwisko dawnego przeznaczenia miejsca. Na ścieżkach deptanych przez mrukliwe niedźwiedzie, przechadza się „Ceres gospodarna” w postaci potulnych kur perlistych i z pańska nadętych indyków.

Po drugiéj stronie rzeki jakby dla kontrastu z wesołém wejrzeniem Zwierzyńca, ciągnie się cmentarz noszący dawne nazwisko Jezuickiego, ponieważ był na gruntach jezuickich i ponieważ na tém miejscu w r. 1710, grzebiąc ofiary morowego powietrza, w téj liczbie złożono i szesnastu Jezuitów zmarłych na usłudze kapłańskiéj przy zapowietrzonych. Dziś ten cmentarz uwieńczony kapliczką księżny Repninowéj, żony pierwszego gubernatora wojennego wileńskiego, należy do prawosławnych. Nieopodal ztąd znajdował się jezuicki dom zamiejski *Zakręt*, w którym rektor i professorowie akademii używali błogiego wczasu po trudach nieudolnego nauczania, lub nieskończonego processowania się z Pijarami o monopol oświaty. Któż zgadnie? może właśnie w tém zaciszu O. Józef Baka, professor poetyki w akademii, autor nieśmiertelnych *Uwag o śmierci niechybnéj*, nizał swe rymy, jak Poleszuki niżą piskorza na patyczki!

W drugim, dalszym od miasta zakręcie Wilii sterczy na lewym brzegu wspaniała mina murowanego gmachu zwanego także *Zakrętem*, żyjącego tragicznemi wspomnieniami. Gmach ten wzniesiony przez Jezuitów w pierwszéj połowie zeszłego stulecia na letnią ich rezydencyę, był następnie własnością księcia biskupa Massalskiego, a potém generał-gubernatora wileńskiego hrabi Beningsena. W roku 1812, przed nad-

ciągnięciem zastępów Napoleona I, miano tutaj wyprawiać świetną ucztę dla cesarza Aleksandra I; ponieważ zaś pałac niezdołałby pomieścić ogromnéj liczby gości, wzniesiono na prędce przy nim olbrzymią tymczasową szopę drewnianą. Nieszczęście chciało, iż w pośpiechu roboty, albo wyrachowania architekta były niedokładne albo też wykonanie wadliwe, dość że całe przykrycie szopy ze straszliwym łoskotem zawaliło się na parę godzin przed balem, a architekt Szulc z przerażenia utopił się w Wilii. Po wejściu Francuzów do Wilna pałac obrócono na szpital wojskowy, który skutkiem przypadkowo wybuchłego pożaru, stał się grobem niemałéj liczby chorych nie mogących ratować się ucieczką. Odtąd stoi ruderą okropną, a na przeciwnym brzegu o kilkaset kroków od niéj ktoś przemyślny urządził karczemkę w któréj odbywają się sceny, mogące Warszawianom przypominać Saską Kępę lub Kaskadę.

Tak to wszędzie i zawsze natura bez wysilenia i zachodu rozsiewa krzewy i kwiaty piękności, a człowiek w pocie czoła nasroża je tragicznemi wypadkami.

„I jako leśny dzik kwiecie wytłacza,
Niepokropione znojami oracza,
Ani znające ręki ogrodnika...”

## KORESPONDENCYA.

*Florencya, d. 15 Lutego 1872 r.*

*(A. W.)* W poprzednim liście pisałem wam o prasie peryodycznéj; obecnie przechodzę do literatury bieżącéj, któréj, jeżelibym pragnął zająć się sumiennie szczegółowemi obrazami, musiałbym rozszerzyć granice méj pracy przynajmniéj do tomowego dzieła. Dla tego też ograniczę się tutaj na ogólnym poglądzie; w kilku słowach starać się będę określić stan i kierunek każdéj z głównych gałęzi nauk i wiedzy we Włoszech.

Ze wszystkich nauk, jakie obecnie gorliwie uprawiają w Italii, *prawo*, a szczególniéj jego filozofia trzyma pierwszeństwo przed innemi i najwięcéj ma zwolenników w świecie uczonym. Oprócz sumiennych i pełnych erudycyi traktatów, lub też dzieł obszerniejszych o prawie naturalnem, prawo międzynarodowe, morskie, handlowe, administracyjne coraz dokładniejsze i jaśniejsze wyrabia sobie teorye.

*Filozofia* przedstawia tu dwa kierunki: *tomistyczny*, po większéj części rozwijany przez duchownych, i *pozytywny*, powszechnie przez czcicieli téj nauki przyjęty. Niektórzy z tutejszych pozytywistów, jak Montegazza doktór medycyny, i Aleksander Herzen, professor zdaje mi się anatomii porównawczéj w tutejszym fakultecie medycznym, wpadają w zupełny materyalizm. Aleksander Herzen ogłosił kilka prac swoich mających na celu rozpowszechnienie teoryi o pochodzeniu człowieka według systemu Darwina; mimo tego jednakże nie zyskał wielu zwolenników, i głównie reakcyi Mammianiego, wice-prezesa senatu, i Mikołaja Tomasseo zawdzięcza swe niepowodzenie.

Ogół tutejszych filozofów, jakkolwiek swą naukę i teoryę sprowadzić pragnie na grunt czysto pozytywny, jednakże daleki jest zupełnie od porzucenia dualizmu psychologicznego, który od wielu wieków głównie w narodach rasy łacińskiéj szeregował swych zwolenników i obrońców. Z nauk przyrodzonych *astronomia, fizyka, mineralogia, geologia*, a szczególniéj *paleontologia* doznają teraz wielkiego tu powodzenia, z dniem każdym wzbogacają się w nowe wynalazki, odkrycia i wytwarzają coraz to lepsze i dokładniejsze systemata i teorye. Tak pomiędzy innemi wspomnę o systemie wulkanicznym Godiniego, który ze wszech miar zasługuje na baczną uwagę, o systemie heliologicznym (słonecznym) ojca Secchi dyrektora obserwatoryum w Kollegium Rzymskiém, i o systemie meteorologiczno-astronomicznym Schiaparellego z Medyolanu.

*Historya powszechna* dotąd nie ma we Włoszech oddzielnéj, a raczéj nowéj szkoły, znanéj już w Niemczech i we Francyi; ale szczyci się żyjącą jeszcze powagą znanego w kraju naszym Cezara Cantu, któremu papież polecił napisanie historyi Soboru Watykańskiego. *Historya kościelna* przez utratę wzroku mgra Tizzani, professora w dawnéj Sapiencyi w Rzymie, poniosła wielką klęskę i zdaje się niepowetowaną. Mgr Tizzani, człowiek wielkiéj erudycyi, bardzo bujnéj imaginacyi i głębokiego poglądu, bodaj pierwszy z pisarzy kościelnych zajął się filozoficzno-psychiczno-krytycznym rozbiorem nietylko całych dziejów kościoła, ale nawet pojedynczych epok, wypadków i osób. Zdaje się, że uczone badania dziejów rzymskich Niebuhra i Teodora Mommsena musiały go na ten szczęśliwy kierunek naprowadzić. Lecz nie wchodząc w rozbiór przyczyn tego zwrotu, faktem jest że niezrównana pamięć i niesłychana praca mgra Tizzani zebrała massę dokumentów i materyałów do napisania całéj historyi kościelnéj w sposób wyżéj wzmiankowany, a który swą nowością i oryginalnością poglądów i sądu, byłby za sobą wszystkich na téj niwie pracujących pociągnął i nadał studyom historycznym zupełnie nowy i bardzo pożądany kierunek.

Mgr Tizzani do swych prac historycznych, oprócz gruntownego obznajmienia i przejęcia się duchem czasu każdéj pojedynczéj epoki, a szczególniéj z nuukowemi teoryami i systematami, które podówczas ludzkiemi umysły władały, wprowadził nowy całkiem element psychologiczny, to jest sumienne ocenienie charakteru, usposobień i namiętności osób, jakie na scenie opisywanéj występują. Próbkę tego rodzaju pracy mgr. Tizzani dał nam w swojém trzytomowém dziele o Soborach, które przed kilkoma laty w tłómaczeniu francuzkiém wyszło w Rzymie (tekst oryginalny włoski dotąd znajduje się w manuskrypcie u autora, i dopiero po jego śmierci ma być drukowany), a swą oryginalnością i twórczością poglądów wzbudziło powszechną uwagę. Od historyi naturalnie myśl się zwraca do *archeologii, numizmatyki*, które z dniem każdym nietylko teoretycznie, ale i praktycznie robią coraz większe zdobycze. Tak *Rzym, Kampania rzymska, Ostya* wiele miejscowości w Toskanii czyli w dawnéj *Etruryi, Herculanum, Pompea, Pestum*, południowo-wschodnie podnóże Etny etc. są otwartemi arenami do zbierania wawrzynów dla zwolenników tych nauk. Archeologia wzrosła tutaj do tak obszernych rozmiarów, że dzisiaj musiała sobie wytworzyć oddzielne działy, a nawet nauki pomocnicze. Tak więc oprócz *archeologii grecko-rzymskiéj, etruskiéj* i *katakumbowéj*, czyli *chrześciańskiéj*, mamy dzisiaj następujące specyalności: *epitafiografię* opisanie starożytnych nadgrobków i napisów, *iconografię, glittografię* i *paleografię* uczącą odcyfrowywać i czytać starożytne manuskrypta, napisy etc.

*Teologia* i nauki kościelne przy ogólnym dzisiaj indyfferentyzmie religijnym, zdwojonym tutaj przez walkę państwa z kościołem, z jednéj strony, a z drugiéj przez rozwinięcie się absorbującego wszystko cezaryzmu kuryi rzymskiéj, w obecnym czasie nie przedstawiają żadnego ruchu ani życia. Jest więc tylko szkoła rzymska, a jeszcze lepiéj powiedzieć można Rzym, i obok niego zupełna niewiara, racyonalizm, materyalizm, jedném słowem ateizm. Nietylko w samym kościele katolickim, ale nawet i w ogóle na tle religijném, nie ma dziś we Włoszech żadnéj szkoły (spór bowiem o władzę doczesną papieża, jakkolwiek może się nazwać kwestyą kościelną, nigdy jednak za spór religijny uważać się może). *O skotyzmie, tomizmie, molinizmie, jansenizmie, kongruizmie, gallikanizmie i febronianizmie*, które dawniéj tak żywo agitowały, poruszały i zajmowały tutejsze społeczeństwo, dziś wiemy tylko z historyi; bo jak to już powiedziałem, racyonalizm uważa za niegodne siebie zajmowanie się „zabobonami i przesądami religijnemi,” Watykan zaś wszystko sprowadza do wspólnego mianownika *rzymskiego*, i ma po temu potężniejsze od dawnéj supremacyi politycznéj we Włoszech środki: dogmat nieomylności i dyktaturę dyscyplinarno-kościelną. W takim składzie rzeczy nic dziwnego, że dogmat nieomylności, który tyle dotąd jeszcze robi hałasu i wrzawy w Niemczech, tu przeszedł bez wrażenia i echa, i cały spór w téj kwestyi da się zredukować do kilku jaskrawych dziennikarskich pamfletów i humorystyczno-satyrycznych karykatur.

Z tego com dotąd powiedział nie idzie za tém, aby zupełna cisza panowała tutaj na polu teologiczno-naukowém i aby umysły tutejszych teologów pogrążyły się w błogim śnie spoczynku i niemocy. Owszem, wyznać trzeba, że i tu nowe budzi się życie, acz bardzo powoli i nieśmiało, i że dzisiejsi teologowie, jak Jan Perrone, Franzlin, Knol usiłują ciasny horyzont czysto, że tak powiem, tradycyonalnych wywodów, to jest zlepku tekstów z Pisma Św., Ojców kościoła i definicyj soborowych rozszerzyć poglądami, argumentami i dowodami racyonalnemi i tym sposobem wykład i teoryę teologii zbliżyć z filozofią. Pomiędzy tego rodzaju literatami zwrócił na siebie uwagę uczony dominikanin Ojciec Gatti który niedawno temu wydał w Rzymie wielkiéj wartości dzieło pod tytułem: *Kwestye Apologetyczno-Polemiczne*, oparte wyłącznie na dowodach czysto rozumowych, to jest tych, jakie umysł człowieka obeznany wprawdzie ze światłem wiary ma sobie stworzyć i znaleźć w przedmiocie prawd religijnych. Trzytomowe to dzieło, owoc 12 lat sumiennéj pracy, napisane piękną łaciną, dla głębokości swych poglądów i rozumowań dla ludzi tylko fachowych przystępne, może służyć jako przewodnik krytyczny wszystkich systematów filozoficznych i religijnych, a zarazem jako filozoficzny wykład dogmatów katolickich, słowem stanowi bogaty materyał i dla filozofii i dla teologii. Ojciec Gatti ogłasza obecnie *Historyę* a raczéj *Kronikę Watykańskiego Soboru*, bo pisarz najbardziéj nawet bezstronny, opisując fakta współczesne, nie może mieć pretensyi do zimnéj krytyki i wszechstronnéj znajomości historyka, zwłaszcza w podobnéj jak on sytuacyi.

W rubryce téj należy także wspomnieć o mgrze Wilhelmie Audisio, prałacie bazyliki watykańskiéj i professorze prawa natury w uniwersytecie rzymskim, który już kilka dzieł uczonych na tle społeczno-moralném i filozoficzno-prawném ogłosił. Pomiędzy innemi zasługuje na uwagę *Prawo natury i narodów, Prawo kościoła, Dyplomacya kościoła, Dążności teraźniejszych społeczeństw* etc.

Od teologii przechodzę do *medycyny*. Nie będąc nawet specyalistą, lecz mając sposobność zetknięcia się z tutejszymi lekarzami, i ich lekami, dostateczne można sobie wyrobić pojęcie, jak medycyna a szczególniéj patologia i farmakologia

stoją nizko we Włoszech, o ile tutejsi eskulapi nie będąc raspailistami trzymają się zasady Raspaila i o ile nic albo bardzo mało znając homeopatyę i trzymając się przeciwnego systemu, są *homeopatami allopatycznymi*. Nic więc dziwnego, że tutejsza medycyna nie wywiera dzisiaj żadnego wpływu na ogólny kierunek téj nauki, i że młodzi lekarze dla zrobienia sobie renomy i karyery, muszą dopełniać swych wiadomości w Berlinie, Paryżu lub Londynie.

Liczne są przyczyny tego upadku a raczéj zastania się tutejszéj medycyny, z których wymienimy tu główniejsze: obfitość naturalnych pokarmów, a ztąd rodząca się prostota w pożywieniu, a nadewszystko łagodny klimat o $^2/_3$ zmniejszają ilość chorób i cierpiących na nie, tak znaczną w krajach północnych; mały rozwój przemysłu i handlu i prawie do lat ostatnich zupełna nie znajomość a przynajmniéj nic nieznaczące zastosowanie machin parowych o wiele zmniejszały i zmniejszają stosunek kalectw, które znowu przy małych i bardzo prostych środkach, jedynie prawie przez działanie powietrza leczyć się dają. Do tych naturalnych przyczyn wpływających na powolny rozwój medycyny w pięknym kraju Hesperydów, dodać trzeba i moralne, mianowicie: wpływ duchowieństwa, który aż do czasów zjednoczenia się drobnych italskich państewek był wyłącznym i stanowczym prawie na całym półwyspie Apenińskim. Otoż duchowieństwo italskie ze względów na źle pojętą moralność i przez niewłaściwy ascetyzm, nietylko nie protegowało, ale do pewnego stopnia utrudniało wszechstronne i niezależne studyowanie medycyny; a z drugiéj strony aby podnosić, ożywiać i utrzymywać wiarę ludu, osłabiało jego i tak niewielkie zaufanie do doktorów, a na ich miejsce wskazywało inne mogące w jednéj chwili bez żadnéj bolesnéj operacyi, bez kosztów i długich zachodów uleczyć najbardziéj zastarzałe i najdolegliwsze cierpienia — jedynie tylko za jedno serdeczne westchnienie, za krótką lecz rzewną modlitwę....... Tym sposobem doktorowie nie tylko w kształceniu się doznawali wielu trudności i przeszkód, ale po dojściu już do pewnego stopnia nauki nie mieli odpowiedniéj praktyki. Można mieć jednakże nadzieję, że polityczne odrodzenie się Italii, obudzenie jéj życia społecznego, umysłowego i handlowego nie za długo błogi swój wpływ wywrze na tę gałąź umiejętności, i że italscy doktorowie staną na szczeblu wymagań i potrzeb obecnego czasu.

Myliłby się bardzo, ktoby mniemał, że ojczyzna Mezzofantego jest świątynią filologii, która tak okazale wznosi się w Niemczech, Szwajcaryi i Hollandyi. Oprócz bowiem nielicznych poliglotów i oprócz wielkiéj zdolności Italów do nauczenia się obcych języków—filologia w obszerniejszém zastosowaniu redukuje się bez przesady, można powiedzieć, do tych trzech języków: francuzkiego, łacińskiego i greckiego, z których dwa ostatnie po największéj części nie przechodzą szranek pewnych fachów. Dodać tu należy, że medycyna tutejsza od dawna zerwała ze starożytnym klassycznym językiem, i tak w swéj terminologii jak farmaceutyce posługuje się czysto narodową mową.

Obecnie pozostaje nam tylko *poezya i belletrystyka*.

Wprawdzie w Italii co dziesiąty w gronie swych przyjaciół i znajomych jest urzędowym poetą i przy każdéj większéj, że tak powiem, familijnéj uroczystości musi swój Sonet umyślnie do danéj okoliczności zastosowany odczytać lub na pamięć wygłosić; wprawdzie bardzo wiele drukuje się tu utworów rymowanych; jednakowoż wyznać trzeba, że niewielu jest tu poetów w ścisłém tego wyrazu znaczeniu, a parnas italski po Dancie Alighierym, Petrarce, Arioscie i Tassie nie o wiele się powiększył w ostatnich wiekach (Hugo Foscolo, Wiktor Alfieri, Giusti, Monti, Jakób Leopardi i Józef Parini) i długo jeszcze wyżéj wspomnieni poeci będą zajmowali wyłącznie uprzywilejowane miejsce. Co do ilości, jeżeli kiedy napisana zostanie historya literatury italskiéj, z pewnością liczba italskich poetów na krocie tysięcy rachować się będzie — bo historye literatury pojedynczych miast liczą ich na tysiące i dziesiątki tysięca. Tak sama Rawenna, trzeciorzędne miasto włoskie, a wydał z siebie 20,000 poetów i literatów. Wśród tysiąca rymujących pisarzy z większym lub mniejszym talentem i powodzeniem, po nad ogół wynosi się Jan Prati, któremu wiele jeszcze brakuje, aby dosięgnął mety, jaką nam klassyczni poeci nakreślili. Nawiasowo należy tu wspomnieć o Józefie Pitrém, skrzętnym bardzo zbieraczu sycylijskich pieśni ludowych, dla którego poezya nie jest dorywczém zajęciem, chwilową rozrywką lub też wrodzoną koniecznością rymowania bez myśli i kierunku, lecz przejmuje się nią jako sztuką wolną, *ars liberalis*, i z namaszczeniem kapłańskiém wynosi z niéj wszystkie nieskażone płody, jakie prawie bezwiednie od najdawniejszych czasów lud wiejski nam przechował. *(d. c. n.)*

---

# NIEWIASTY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez **Wł. Chomętowskiego.**

II.

---

*(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 18).*

Na innem miejscu znajdujemy układ pomiędzy tymże Dobiesławem Podsędkiem i Mściczonem (Mścisławem?) Ksiąskim. Ten ostatni przyrzekł wydać swą wnuczkę Włodkę za syną Dobiesławowego. Za to Podsędek zobowiązywał się bronić praw Ksiąskiego i opiekować się jego majątkiem, który po najdłuższem życiu tegoż miał dostać się Włodce i jéj mężowi.

Rzeczone układy zawierano najczęściéj w imieniu pełnoletnich dziewic, których zezwolenie było konieczne dla pewnéj rękojmi wykonania umowy. Znajdujemy w tychże aktach, że kiedy Piotr Pieniążek z Wąchodłowa wydał swą córkę za mąż, pomimo jéj woli, Kmitowie, zapewne krewni matki panny, zaskarżyli go o to przed sądem.

Zauważyliśmy wyżéj, że według praktykowanego zdawna zwyczaju, wdowy niekiedy po śmierci mężów pozostawały do śmierci w używalności całego ich majątku, zawsze zaś służyło im prawo zatrzymania domu, w którym mieszkały za życia męża. Atoli w razie powtórnego za mąż pójścia, wdowa odebrawszy swój posag, powinna była oddać dzieci wraz z ich ojczystym majątkiem najbliższym krewnym. Zdarzało się wszakże często, że za zezwoleniem opiekunów, zapytywano się w takim razie dzieci, mianowicie córki, czy chcą pozostać w domu matki, czyli też najbliższego krewnego ich ojca. Prawie więc zawsze córki, a nawet i chłopcy nierozłączali się z matką, z tąd częstokroć ojczymowie zajmowali się wychowaniem pasierbów i zarządem ich majątków, nie inaczéj jednak, jak pod warunkiem składania rachunków najbliższemu krewnemu.

Zdarzały się wprawdzie wypadki, w których krewni nadużywali swego przywileju, zatém gwałtem uprowadzali dzieci z domu matki wdowy, niechcąc, aby zarząd majątku w jéj pozostawał ręku. Niekiedy znów wdowy, nawet znaczne posiadające fortuny, w celu uniknienia napaści lub najazdów, oddawały się dobrowolnie z całém mieniem w opiekę jednego z krewnych lub przyjaciół. Wszakże niektóre niewiasty słynęły taką obrotnością w zarządzie majątkami, że wyręczały mężów lub dorosłych synów. Znajdujemy przykłady, że synowie zajęci obowiązkami urzędu lub nie mogąc wyciągnąć odpowiedniéj intraty z dóbr swych, oddawali takowe matkom w zarząd i w dożywotnie posiadanie za jednorazową wypłatą pewnéj summy lub umówioną kwotą rocznego czynszu.

Dodamy jeszcze w przedmiocie opieki matek nad małoletniemi dziećmi i zarządu ich ojczystym majątkiem, że krewni mieli obowiązek doglądania, czy zarząd ten nie odbywa się z krzywdą dzieci.

Na mocy statutu księcia Jana Mazowieckiego z 1421 roku, skoro przekonaną zostanie matka o niedbałości w gospodarowaniu lub utratę mienia, usuwa się od zarządu. (Bandtkie: Jus Polonicum 432).

Prawo czuwało nad przyzwoitém zachowaniem się dzieci względem rodziców. Pogwałcenie w téj mierze przepisów moralności, obelga, czynem lub słowem wyrządzona ojcu lub matce, surowo była karaną.

Według dawnego prawa na Mazowszu, dziecko przekonane o wybicie lub wypędzenie z domu ojca lub matki, ma być przez księcia lub miejscowego starostę osadzone w więzieniu i przykładnie ukarane. Wymiar i ograniczenie kary ma być pozostawione uznaniu rodziców, bez których upoważnienia winne występku dzieci nie mogą być wypuszczane z więzienia.

Również surowo było karane targnięcie się na cześć kobiety.

Zgwałcenie dziewicy karano śmiercią lub opłatą pieniężną, za zgodą strony pokrzywdzonéj. Życie przekonanego o gwałt pozostawało na łasce panny i jéj opiekuna. (Statut Piotrkowski § 20). Za ubliżenie słowami czci niewieściéj płacono karę pieniężną, nadto przekonany w tem wykroczeniu winien był odwołać wszedłszy pod ławę: „to com mówił zełgałem jako pies."

Według ustaw mazowieckich, winny uprowadzenia panny z domu rodziców tracił cały majątek, którego jedna połowa zabierana była na rzecz skarbu książęcego, druga zaś dostawała się rodzicom lub opiekunom uwiedzionéj. Nadto mógł książe ukarać go śmiercią, lub wywołaniem na zawsze z kraju. Gdyby zdarzyło się, że zamordowano winowajcę uwięzionego przez rodziców lub opiekunów panny, winni tego zabójstwa żadnéj nie ponoszą kary. Uwiedziona za życia męża nie miała prawa do posagu, ani do spadku po rodzicach. (Statut ks. Jana 1386 r.). Skoro kto oddał w zamężcie krewnemu swemu lub przyjacielowi córkę drugiego szlachcica, bez zezwolenia rodziców, obowiązany był za nią wypłacić posag w téj saméj ilości, w jakiéj przypadał jéj z majątku ojca, którego, wydana w ten sposób dziewica, poszukiwać nie miała żadnego prawa. (Tamże).

Znajdujemy w dawnych statutach mazowieckich uchwałę w obronie dziewicy, pozostającéj pod opieką brata, który nie stara się wydać jéj za mąż lub obchodzi się z nią nieuczciwie. Pokrzywdzona mogła uciec z domu brata do kre-

*Dalszy ciąg w dodatku.*

---

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

# DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 19-go.

wnych lub przyjaciół i żądać ażeby odebrali z rąk jego należny jéj posag. Gdyby brat odmawiał zadość uczynienia, mają być wysłani z urzędu książęcego kommisarze w celu rozdzielenia majątku pomiędzy braci i siostry. (Bandtkie 409).

Zauważymy tu, że równie za morderstwo jak za pogwałcenie niewiasty, obostrzoną bywała kara w stosunku do stanowiska pokrzywdzonéj osoby, jako też przekonanego o występek. Tak według uchwał mazowieckich, szlachcic za zgwałcenie córki kmiecia opłacał się grzywnami, gdy kmieć odpowiadał głową.

W celu dokładniejszego przedstawienia stanowiska niewiasty w rodzinie i społeczeństwie, postaramy się o streszczenie w głównych wybitniejszych rysach domowych stosunków w epoce, która jest przedmiotem naszego badania.

Odkąd pomniki przechowane w źródłach piśmiennych pozwalają odchylić przeszłości naszej zasłonę, widzimy dwie najliczniejsze warstwy w narodzie: szlachtę czyli stan rycerski i kmieci zajętych głównie uprawą roli. Stosunki tych dwóch warstw wzajemne, w zwyczajnej kolei czasu różnym ulegały zmianom.

W XIV i XV wieku pomiędzy szlachcicem herbowym a sołtysem i kmieciem, widzimy stan pośredni włodyków czyli skartabellów, którzy odpowiadają znanym na zachodzie rycerzom niższego rzędu czyli giermkom (squire, emyer). Pomiędzy skartabellami a ludnością kmiecią odznaczają się jeszcze dosługujący szlachectwa z sołtysów i kmieci, którzy stanowią trzeci najniższy stopień rycerskiego stanu. Stopniowanie to określone już jest wyraźnie w statucie wiślickim, gdzie za zamordowanie szlachcica oznaczona jest kara w ilości sześćdziesięciu grzywien, za głowę skartabella czyli włodyki trzydzieści, za sołtysa lub kmiecia uszlachconego piętnaście.

Zauważymy następnie, że w XIV wieku mniej wybitna była różnica pomiędzy szlachcicem niższego rzędu i kmieciem, niż pomiędzy tym ostatnim i sługą zwanym gołomęką lub niewolnikiem. Ten bowiem, jako własność pana, wyjęty był zupełnie z pod opieki prawa. Sługa taki nie odpowiadał przed rządem lecz przed panem, który sam nad nim wymierzał sprawiedliwość i płacił lub wynagradzał wyrządzoną przez tegoż szkodę trzeciej osobie.

Wioski nie były zbyt ludne w XIV wieku. Nietylko kmiecie ale w niektórych miejscowościach biedna lub zubożała szlachta zajmowała się uprawą roli. Długosz w szacownem dziele „*liber beneficiorum*” (T. 1. str. 39) wymienia wieś Radwanowice wyłącznie osiedloną przez szlachtę i inne zaludnione przez szlachtą i kmiecie. Pomiędzy niższą i zubożałą szlachtę wielu nie posiadało własności ziemskiéj. Ci nie poczytywani byli za prawych szlachciców, czyli raczej nie mogli korzystać z przywilejów, dopóki nie złożyli dowodów usprawiedliwiających ich pochodzenie i stanowisko. Wałęsali się oni po świecie lub osiadali w miastach, gdzie chwytali się rozmaitych rzemiosł i zarobków. Z okoliczności téj powiedziano jest w statucie warteńskim: "Kmieć nie będzie módz któremu szlachcicowi albo za szlachcica się mającemu szlachetności naganić.. Ale mówi się tu o szlachcicach, którzy na wojnie służą, a pod prawem rycerskiem są, a nie o tych, którzy w mieście bydlą a piwo szynkują, albo snać zbiegi są, w ziemi nic nie mając, gdyż tacy mają się wyczyścić."

Według uchwał mazowieckich, szlachcic nie posiadający żadnej ziemskiej własności, skoro zamieszkuje w obcéj wsi ma nazywać się kmieciem i pozostawać pod prawem kmieci, odzyskuje zaś przywiléj szlachectwa, skoro we własném osiedli się dziedzictwie. *(d. c. n.)*




## FEDRA.

Tragedya w pięciu aktach G. Conrada, przełożona wierszem z niemieckiego przez Wł. Anczyca.— Muzyka St. Moniuszki.

(Pierwsze przedstawienie dnia 29 lutego r. b., na benefis pani Modrzejewskiéj.)

Z bogactwem mitologii greckiéj żadna inna mierzyć się nie może; nawet ta sławna fantazya północnych ludów, ossyaniczna i skandynawska, zaledwie zbliża się do niéj. Kraj w cudownie pięknéj naturze, pod gorącą strefą rozrzucony w wyspach i wysepkach, w górach i jaskiniach, urokiem błękitu niebios, blaskami świateł dziennych i nocnych, czystością linii które nakreśliła architektoniczna ręka przyrody, fantastycznością jéj obrazów,— wzbudzał i roznieсał fantastyczność umysłów, skłaniał do cudowności. Jak ziarno rzucone w ziemię długo pod lodami zastygłą, wydaje roślinę chudą i karłowatą; a toż samo ziarno, dostawszy się w grunt ogrzewany gorącém tchnieniem południa, rozwija się w olbrzymie i rozłożyste drzewo; tak jeden i ten sam fakt, wydarzony tu i owdzie, przyjęty albo z chłodną refleksyą, albo przez żar namiętności przeprowadzony, przybiera inne barwy, inne znaczenie, inną doniosłość,— aż to co było zrazu owocem bujnéj imaginacyi, powtarzane z upodobaniem, dostrajane nowemi ozdobami, staje się wreszcie wiarą powszechną ludu.

Na tle takich to mytów powstała teogonia grecka, która pomięszawszy się z późniejszym cyklem bohaterów, wytworzyła z czasem tragedyę. Poeci tragiczni, z żywą wiarą przyjąwszy podania, potrafili im nadać barwę poważnéj rzeczywistości, i fantastyczną wielkość legend zakuli w bronzowe kształty klassycznego dramatu.

Dramat ten stał się pierwowzorem późniejszych, i przy podobnych treściach, a zmienionych formach odżył w tragikach francuzkich. Przekonano się jednak, że połączenie to widoków dzisiejszych, form dzisiejszych, z treściami starożytnemi, nie ma w sobie dostatecznych warunków życia, i zwrócono się do form nowoczesnego prawodawcy świata tragicznego: do Szekspira.— Świat jednak grecki, ze swemi formami sztuki, zbyt pięknym był i jest, ażeby nie miał tentować umysłów przedniejszych; gną się one tam wszystkie, jako do czystego źródła poezyi, zadziwiającego jasnością swoich przezroczy. Ze wszystkich jednak tych pokuszeń, zwycięzko wyszedł jedyny tylko Gete. W duchu i prawdzie zbratał się on z muzą grecką, i za jéj przewodem wyprowadził z kastalskich zdrojów czystą dziewicę helleńską, *Ifigenię*. Dzieło jego treścią i formą, stanęło niemal na równi z dziełami Eurypidów i Sofoklów; ale bo też to był Gete!

Tego samego widocznie próbował i Conrad z Fedrą, któréj, oprócz legendy, znalazł dramatyczny wzór, równie jak Gete, w Eurypidesie.

W przedmiocie Fedry łączą się aż dwie legendy, attycka i kreteńska. Żeby więc treść jéj dostępniejszą uczynić czytelnikom, musimy pokrótce zwrócić się do nich.

Władca Krety, Minos, nabył wielkiéj potęgi na morzu; mnóstwo wysp okolicznych słuchało jego rozkazów. Przez zaniedbanie objaty obraził on na siebie boga wód Posejdona, który przez pomstę obudził w sercu żony jego, Pasifae, potworną miłość dla tura *). Zbieg ateński, wielki artysta Dadalos, stał się powiernikiem téj miłości, któréj owocem był Minotaur, pół-człowiek, a pół-tur. Jego to trzymał Minos uwięzionego w tak zwanym labiryncie, budynku nieprzebytym, zbudowanym w tym właśnie celu przez Dedala na rozkaz Minosa.

Owóż zdarza się, że jeden z synów Minosa, Androgeos, goszcząc w Atenach podczas uroczystości, odniósł na igrzyskach zwycięztwo nad wszystkiemi współzawodnikami. Władca podówczas ateński, Egej, ojciec Tezeusza, widząc tak dzielnego młodzieńca, wysłał go na zabicie tura Maratońskiego, niszczyciela okolicy, w któréj to wyprawie Androgéj zginął, a Minos, mszcząc się śmierci syna wypowiedział Atenom wojnę. Długi czas nie mógł zdobyć miasta, aż uciekł się z modłami do ojca swego Zeusa, by mu pozwolił pomścić się na nieprzyjacielu. Zeus zesłał na Ateny głód i mór. Znękanemu ludowi wyrocznia oświadcza, ażeby poddał się wszystkim warunkom jakie Minos nałożyć zechce. Ten zażądał ażeby Ateńczycy posyłali peryodycznie do Krety haracz w postaci siedmiu chłopców i siedmiu dziewcząt na pożarcie dla Minotaura zamkniętego w owym labiryncie bez wyjścia,

I tak, co lat dziewięć posyłano ten haracz z ofiar wybieranych losem **). Nadszedł trzeci termin wysyłania młodzieży, i Ateny pogrążone były w największym smutku, kiedy syn królewski Tezej, postanowił sam zaliczyć się do tychże ofiar i położyć raz koniec temu krwawemu haraczowi, lub zginąć. Błagał o pomoc Posejdona, a tymczasem Delficki Feb zapewnił go, że Afrodyte (miłość) będzie go osłaniać i wyprowadzi z kłopotu. Przybywszy do Knossos, stolicy Minosa, zjednał sobie serce córki jego Ariadny, która dała mu miecz i kłębek nici. Mieczem zabił Minotaura, a kłębek zaczepiony u wnijścia, posłużył mu do wydobycia się z labiryntu ponitce.

Nie skończylibyśmy tak prędko, gdybyśmy chcieli przytaczać wszystkie szczegóły jakie legenda snuje o Minosie i Tezeuszu, z których jeden jest potężnym i surowym władcą, drugi Rolandem attyckim, a obaj słyną równie bohaterstwem, jak mnóstwem miłosnych przygód.— To

*) Wirgiliusz prześlicznie klęskę téj niewiasty opiewa w szóstéj sielance (wiersz 45—60).

Et fortunatam, si numquam armenta fuissent,
Pasiphaën nivei solatur amore juvenci.
Ah, virgo infelix! quae te dementia cocpit!..i t. d.

**) Logograf Hellanikos utrzymuje, że sam Minos przybywał wybierać je do Aten. — Ekkermann zas w dziele: *Religions Geschichte und Mythologie* (t. II, roz. 13) utrzymuje nawet, że podatek z tych ofiar ludzkich, wypłacany przez Ateny Minosowi, jest faktem historycznym. Tego jednak twierdzenia nigdzie w krytycznych dziejopisach Grecyi sprawdzić nie mogliśmy.

co przytoczyliśmy, jest niejako prologiem do tragedyi; teraz jéj saméj pozostawiamy głos.

Tezej, po zabiciu Minotaura, wybiera się z Krety potajemnie z rozkochaną w nim Aryadną; do nich przyłącza się siostra jéj Fedra, któréj przykrzy się samotność w domu surowego i okrutnego rodzica. Minos, przedtém rozsrożony na królewicza ateńskiego o wydarcie mu haraczu i znieważenie ziemi, dowiedziawszy się o tém uprowadzeniu, wpada w szał, poprzysięga zemstę i uderza w pogoń... jak się okazuje z treści bezskuteczną.

Troje zbiegów przybywają na wyspę Naxos i zatrzymują się na niéj, snadź dla spokojnego przepędzania miodowych miesięcy; żadnego bowiem autor nie daje téj długiéj stacyi usprawiedliwienia. Tam, Aryadna, po pierwszych wybuchach miłości, zaczyna ubolewać nad swém położeniem; żal jéj starego ojca, którego pozostawiła samotnym, z mężem ukochanym rozstać się nie może, wrócić razem z nim do Krety niepodobna. Serce jéj tym podwójnym szarpane bólem znajduje tylko jęki i łzy; to pomsta Erynnien za porzucenie ojca. Fedra, przeciwnie, bardzo zadowoloną jest z tego położenia; nic ją nie obchodzi nienawistny ojciec, a coraz więcéj zapala się ku bohaterskiemu Tezejowi. W tém dochodzi wieść, że pogoń Minosa się zbliża; trzeba się zdecydować na walkę, albo na ucieczkę. Kobiety skłaniają Tezeja do zaniechania walki nierównéj i świętokradzkiéj, a gdy przychodzi do ucieczki, Aryadna chwieje się między dwiema miłościami, walka uczuć pozbawia ją zmysłów, pada u stóp ołtarza poświęconego Dyonyzosowi; a tu czas nagli, Tezej nie wie co czynić, gdy w tém Fedra wyznaje mu swą miłość i skłania do wspólnéj ucieczki. Aryadna pozostawszy samą, budzi się, oczekuje na ojca który nie przybywa, a tymczasem wpada na nią orszak bachantek, faunów i satyrów, z całym przyborem dyonizyackiéj orgii, oświadczając jéj, że Dyonyzos, bóg téj wyspy, rozkochał się w niéj i prosi o wzajemność. Opiera się Aryadna, ale gdy nareszcie sam bóg wjeżdża na wozie i okiem zachwytu spogląda na nią, ona ujęta jego pięknością, pada mu w objęcia.

Tymczasem Tezej przybywszy z Fedrą do Aten, zastaje syna swego, Hippolita, zakochanego w Arycyi, pochodzącéj z rodu Pallantydów (nie wiem, gdzie się autor doszukał téj genealogii, zapewne spokrewnionéj z Palladą ateńską). Przedstawia nową małżonkę ludowi, a ta spojrzawszy na pasierba, uczuwa dlań nową gwałtowną miłość.

Nowe fatum, które długo czekało nim spadło na głowę Fedry. Ona, na chwilę uwiedziona fałszywą wieścią o śmierci Tezeja na jednéj z wypraw morskich, usiłuje skłonić ku sobie serce Hippolita. Młodzieniec poddaje się namiętnym nagabaniom, ale przypomniawszy sobie, że jest narzeczonym Arycyi, wyrywa się z objęć Putyfary, która nie przestaje mu jednak grozić niezwalczonością uczucia jakie w nim zapłonęło; ale te rachuby przyszłego tryumfu przerywa niespodziewane przybycie Tezeja.

Powrót ten w niczém jednak nie zmienił usposobienia Fedry. Wszystko przygotowane już do ślubu nowożeńców, ofiary płoną na ołtarzach, kapłan wzywa opieki bogów nad młodą parą; gdy w tém, w chwili stanowczéj Fedra odpycha narzeczoną, rzuca się na Hippolita i śmiele, w obec męża i całego ludu wyznaje swą namiętność. Zbudzony Tezej rzuca na syna przekleństwo i każe go zamknąć w więzieniu. Fedra przyjmuje truciznę i przede śmiercią wyznaje mężowi, że syn nie był winien, że całe to wzburzenie wypłynęło tylko ze wzburzenia jéj namiętności; ale już zapóźno, w drodze do więzienia Hippolit zginął wskutek burzy wznieconéj przez Posejdona na głos przekleństw Tezeja.

Oto jest treść tragedyi zapożyczona częścią u legendy, częścią u Eurypida, częścią w szczegółach niektórych przemieniona dla zastósowania się do biegu akcyi. Wszystko co w niéj widzimy ogólnemi wytknięte punktami, jest elementem doskonale greckim, przeciw temu ani słowa. Jest tam ta doraźna i zmysłowa miłość, właściwa krwi południowéj, która, dzisiejszym widzom tak dziwna i nie pojęta, inną jednak nie była w pogańskiéj Grecyi, zwłaszcza w owych odległych czasach, kiedy obyczaj nawet nie ujął jéj w pewne karby społeczne. Jest tam i fatum, snujące się od początku do końca; jest odblysk szczegółów wiekowych i narodowych, tak w smutku, jako i w weselu, w sądach i rozumowaniach, w stosunku ludzi do ludzi i do bóstwa. Naśladował wreszcie autor poniekąd i formę sztuki greckiéj i oprócz dyalogu, wprowadził chóry i chorowody, muzykę, śpiew i nawet w końcu, jak zwykle tragicy greccy, wprowadził angellosa, figurę opowiadającą zdarzenia zaszłe poza sceną. Zbadał pracowicie świat i przedmiot, tak pod względem życia jako i pod względem sztuki, oraz sposobu tworzenia; całego tego materyału, użył z dostateczną dojrzałością, tylko bez dostatecznego talentu. Brakowało mu małéj rzeczy, intuicyi Getego i jego poetycznéj twórczości. Jest to sztuka obmyślana, obrachowana, wyrobiona, piękna powagą języka, czystością, tylko nie natchniona. Każdy pracowity filolog, obdarzony pewną dozą gustu i swobodą pióra, mógłby stworzyć podobną; czuć w niéj, że autor zna świat o którym pisze, ale zna go rozumem, nie odczuwa go zaś imaginacyą i sercem, a przez to nie może i widza zespolić z interesami przedstawianych osób, stawia pomiędzy nim i niemi lodowatą zaporę prozy.

Oparłszy się na rzeczywistych elementach ustroju greckiego, powierzchowną jednak tylko stronę ich uchwycił autor, w rozwinięciu rzeczy nie zdołał utrzymać ich prawdziwéj barwy, zrosłéj z wnętrzem i zeń dobywającéj się na zewnątrz, tak jak u istotnych tragików greckich; barwa też tu ściera się co chwila, a z pod niéj wychodzi duch całkiem nie grecki, to w wyrażeniach, to w sytuacyach, duch banalny ni to nowoczesny, ni starożytny.

Przedewszystkiem, autor nie zapomniał zapewne, ale poszedł przeciw temu, że w tragedyi greckiéj *miłość* nigdy i nigdzie szerokiego nie zajmuje miejsca. Niektóre tragedye obchodzą się całkiem bez miłości, w znaczeniu erotycznem, niektóre nawet bez kobiety (Filoktet). Jeżeli wchodzi, to jest raczéj wskazaną tylko niecieniowaną, bo zkądżeby starożytnym wziąść było tych odcieni, kiedy miłość ich polegała głównie na zmysłach, których objawy i wymagania są bardzo proste. W tragedyi greckiéj, jeżeli pojawi się miłość, to około niéj grupuje się tyle innych dźwigni społecznych i religijnych, że ona ginie pod ich naciskiem, a przodują scenie całkiem inne interesa. Niemiecki zaś autor Fedry uczynił odwrotnie; tyle tu nawprowadzał miłości i w tylu kombinacyach, że doprawdy nie dziwię się, iż nie mógł z nich wyjść bez narażenia charakteru świata w którym przebywa, i bez rozwleczenia sztuki do rozmiarów szkodliwych dla jedności. Miłości te zmusiły go do coraz nowych parafraz uczucia, a ztąd i niepodobna było uniknąć kommunałów, które głównie odbiły się w scenie trzeciego aktu między Hippolitem i Arycyą, sprowadzając jakiś nudny, wodewilowy efekt. Ztąd też i cała sztuka chwieje się wciąż między starożytną i nowoczesną barwą; nie można jéj odmówić jednéj, a druga wciąż na nią zachodzi, i obie wzajem psują jedna drugą.

Zadaniem tragedyi greckiéj nie jest bynajmniéj przedstawiać zakochanych, ale ludzi walczących z bogami. Autor wprowadzając tylko zakochanych, odjął bohaterom prawdziwy ich charakter.

Któżto jest ten jego Tezeusz? Istny mannekin, w którym nie widać ani nawet cienia téj wielkiéj legendowéj postaci, co stworzyła około siebie cały cykl poetyczny, zwany Tezeidą, na cześć którego przez wieki odbywały się coroczne narodowe uroczystości. Autor, tego bohatera trzyma wciąż tylko z kobietami, każe mu się kochać to w jednéj, to w drugiéj, i nie dopuszcza go do żadnego działania, ktoreby zdolném było wykazać tę moc duszy i woli jaką przyznała mu legenda. Przybycie jego do Aten i powitanie przez lud istnie śmiech wzbudza, zwłaszcza tak nieudolnie wykonane jak było na przedstawieniu. Ten Tezeusz chodzący przez pięć aktów po scenie i opędzający się nieustannie perypetyom miłosnym, jest czemś czego istotnie pojąć nie możemy w sztuce. Nie pojmował też snadź tego i p. Rapacki, bo nie poto on przyszedł na scenę ażeby się kochać. Wyglądał też jak trapista w kłopocie, nie jako bohater uśmiercający potwory. Tak było mu nie do rzeczy z tą rolą, że nie potrafił uwydatnić nawet i tych kilku silniejszych, wyrazistszych miejsc, np. sceny z synem i Fedrą, jakie zabłąkały się do roli. Żaden wreszcie artysta nie zdoła w niéj obudzić sympatyi, porwać; gdyż Tezeusz jest tu, właściwie mówiąc kochankiem, a nie chce takim być otwarcie, nieoględnie, po dzisiejszemu; ukryty pod starożytny kask, skrada się ażeby nie wyglądał na nowoczesnego, przez to blednie i niknie.

Rola Hippolita o tyle jest szczęśliwszą, że krótszą, ma wreszcie choć jedno miejsce energicznie wydatne: to scena pokus, poddania się a następnie tryumfu nad samym sobą. P. Tatarkiewicz przebywszy mdły romans z Arycyą, wzmógł się u nóg Fedry, lubo jak tam, tak i tu, wiele mu brakowało do pokrycia rutyny jakiéj nabrał w przedstawianiu kochanka francuzkich salonów. I nic dziwnego. Charaktery tragiczne,— przypuściwszy je w należytych rozmiarach,— same nie wejdą w naturę aktora; trzeba nad niemi studjów, trzeba dla nich wzorów. Zkąd może czerpać artysta nasz jedno i drugie, jeśli scena prawdziwą tragedyę uważa tylko za wybryk, którego wolno się jéj zaledwie raz na parę lat dopuścić. Średnich zdolności, choć sumienny i wiernie oddany swemu powołaniu artysta, jak p. Tatarkiewicz, sam sobie bez wskazówek nic w tém nie poradzi. Potrzeba takiego intuicyjnego talentu jak pan Żółkowski, ażeby bez żadnych przygotowań zadziwić postacią Kromwela.

Krótko przeszedł przez scenę p. Królikowski (Minos), ale było to przejście uragana, co od ponurego pomruku niezadowolenia, przeszedł stopniowo całą gammę oburzeń, grozy, żalu, aż rozgrzmiał rykiem przekleństwa, wywołał drugi uragan oklasków,— i skonał.

Ten szalony dziesięciominutowy effekt, naprowadza na myśl, że gdyby cała sztuka sprowadzoną była do szczuplejszych rozmiarów, do takich w jakich istotnie zawierały się greckie tragedye (zawsze jeden tylko obszerny akt), całośćstałaby się żywszą i prawdziwszą. I w saméj rzeczy, nie wiadomo dla czego tu połączone są dwa osobne przedmioty w jeden, Aryadna z Fedrą, kiedy tu jest właśnie materyał na dwa osobne przedmioty. Usunąwszy Aryadnę, zostają tylko trzy akty, z których znowu z interesem Fedry wiąże się

jedna tylko scena aktu trzeciego, wrażenie sprawione na niéj przez Hippolita, a cały przebieg sprawy zawiera się w pozostałych dwóch aktach. Ależ oto tym sposobem przyszliśmy do rozmiarów tragedyi Eurypidesa, którego snadź poprawić chciał autor niemiecki wydęciem swéj sztuki większą liczbą legendowych osób i szczegółów.

Przy takiem skróceniu sztuki, pani Modrzejewska (Fedra) byłaby zwolnioną od połowy najmniéj wierszów będących niczem innem tylko deklamacyą bez akcyi, od mozolnego pozowania przy słuchaniu rzeczy nie przedstawiających interesu dramatycznego. Pozostałaby przy czwartym i piątym akcie, w których potęga jéj talentu zdołała przecież wlać jakiekolwiek ciepło w zimne słowa autora; gra jéj fizyognomii zapełniać tu musiała często próżnię dramatycznego słowa i obojętność sytuacyi. Ale zapełnienia te były tak częste, że wreszcie musiały wpaść w monotonię. Podziwiamy odwagę Hippolita który zdołał wydrzeć się tym czułym i uroczym objęciom oka, uśmiechu i rąk, jakie otoczyły go w czwartym akcie, ale jest też to jedyne wspomnienie jakie, obok burzy wywołanéj przez Królikowskiego, przetrwało u nas z całego przedstawienia Fedry.

Nie ubliżamy przez to Aryadnie, która w przeciwstawieniu do Fedry, jest charakterem cichym i kochającym. Pani Palińska niepospolite miała zadanie by postać tę złożoną ze słów raczéj jak z akcyi, czysto liryczną, udramatyzować; istotę płaczliwą i wzdychającą uczynić zajmującą; i dokonała tego: cały drugi akt jéj tylko jest dziełem. Po Aryadnie, oprócz wybornéj deklamacyi w stylu klassycznym pozostało nam wrażenie sympatyczne; prawdziwemi były uczucia jéj dla nieobecnego ojca, prawdziwym szał przed rozstaniem się z siostrą, prawdziwym mianowicie ten wybuch nowego życia jaki rzucił ją w objęcia Dyonizosa.

P. Ostrowska, w roli Arycyi, nie mogła podnieść się wyżéj nad poziom wodewilowy. Jako szczęśliwa narzeczona Hipolita wychodziła zwycięzko, fraza jéj płynęła potoczyście, artystka była w swojém powołaniu; ale do perypetii, wywołanéj wybuchem Fedry, zabrakło sił w głosie, ruchu w akcyi. Nie jéj to wina że jéj dano ciężar nad siły.

Nie możemy pominąć p. Stolpego, który czyniąc z siebie ofiarę, przyjął czysto deklamacyjną rolę Pirytoja, przyjaciela Tezejowego, i wywiązał się z niéj szczęśliwie. Jemu to przypadło być *angellosem*, to jest opowiadaczem wypadków wynikłych za sceną. Nieponętne to zadanie, tam gdzie publiczność oczekuje na wrażenia a nie na wieści. Ostatnie mianowicie opowiedzenie nieszczęsnéj przygody Hipolita, które przypada po wszystkich perypetyach tragicznych, i zawiera z jaką secinę wierszy, jest wprawdzie ścisle w duchu tragedyi greckich, ale u nas tak niebywałe, że nie wiem czy publiczność zrozumiała pobudkę doń autora i zasługę artysty, który jednak dykcyę swą ubrał w tak możliwy dramat, żeśmy go z całą przyjemnością słuchali, i z takąż samą przyjemnością zdanie tu nasze o tem wygłaszamy.

Można grać dobrze lub źle, zależy to od zdolności i usiłowania; ale w rzeczach poważnego nastroju wypada, ile można, unikać śmieszności; a ten musi w nią wpaść kto się do wygłaszania tragedyi wybiera ochrypnięty czy zakatarzony. A w tym jednak przypadku znalazł się arcykapłan Afrodyty i służebna Fedry, Enona. Głos jaki wychodził z ich piersi był zapewne przyjemną dywersyą dla niektórych osób wśród częstéj monotonii deklamacyjnéj, ale nie wiem czyby równą stanowił przyjemność dla autora sztuki.

Nie uchodzi również w tragedyi parodya, a czemżeż innem mógł być ów boski i słynny z piękności Dyonysos, który stojąc na wozie nie w postaci boga zachwyconego wdziękami ziemianki, ale z miną podchmielonego Wojtka uśmiechającego się do kieliszka, nie umie nawet porządnie wymówić jednego wyrazu z całéj roli! „Aryadno”!

Dyrekcya widocznie nie szczędziła starań i ofiar w wystawieniu téj sztuki: gustowne dekoracye, nowe a bogate kostiumy, są jéj powierzchowną ozdobą; ale nierównie większą stanowi piękny przekład p. Anczyca i wzorowa muzyka Moniuszki.

---

## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

### REFORMA WIĘZIEŃ.

Kiedy pod Sedanem rozgrywał się trzeci czy czwarty z kolei akt straszliwego dramatu między dwoma zapaśnikami zarzynającymi się bez żywotnéj potrzeby i konieczności o hegemonią w Europie, jednocześnie zasiadała Ameryka u stołu obrad nad innego rodzaju nędzą moralną— nad reformą więzień, w których siedzi zamknięta dosyć spora cząstka ludzkości. Miasto Cincinnati było tém szczęśliwém miastem, z którego wyszła pierwsza inicyatywa radykalnego przejrzenia i zreformowania więzień nietylko w północnych Stanach Ameryki, ale i wszędzie, gdziekolwiek się znajdują te smutne przybytki. Na kongres w Cincinnati zjechało się mnóstwo osób dostojnych i urzędników fachowych, ażeby zdać publicznie sprawę z ważniejszych postrzeżeń, przekonań i pomysłów, jakie im się nastręczały w długich chwilach urzędowania i czuwania nad życiem i stanem więźniów. Uchwalono przedewszystkiém nie ograniczać się na kongresie w Cincinnati, ale przeciwnie pociągnąć za sobą całą Amerykę i Europę, i w tym celu wysłano d-ra Wines (męża fachowego i dobrze w téj sprawie zasłużonego) do Francyi, Belgii, Niderlandów, Niemiec, Austryi, Włoch i Szwajcaryi, ażeby w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych uprosić inne rządy do udziału w *powszechnym kongresie więzień*, mającym się odbyć w Londynie w pierwszéj połowie Czerwca roku 1872. Wniosek ten przyjęto oczywiście wszędzie ze szczerém współuczuciem zobowiązując się dostarczyć kongresowi powszechnemu i ludzi fachowych i materyałów jaknajobfitszych. Niemcy, którym obce laury nigdy spać nie dadzą, wystąpiły także czynnie w téj sprawie żywotnéj. Wprawdzie większa połowa ich czynu i ruchu schodzi na emfatycznych odezwach do ludu niemieckiego na rozprawach i artykułach, głęboko uczonych, traktujących rzecz niezmiernie wyczerpująco, ale w gruncie nieszczerych, zimnych, chłodnych jak lód, bo też na zimno i chłodno biorą się do téj sprawy same rządy niemieckie, zajęte przeważnie pomysłami do nowych armat, kul, karabinów i bagnetów. Kwestya więzień ustąpiła miejsca sprawie militarnéj, pochłaniającéj i cały rozum i wszystkie pieniądze niemieckie. Dość zresztą przejrzeć w tym celu literaturę dotyczącą sprawy więzień i więźniów, ażeby powziąć nieszczególne o Niemczech przekonanie, że jéj nawet teoretycznie nie przerabiali. Największe zasługi tak na polu teoryi jak praktyki więziennéj oddali światu i społeczeństwu Anglicy, Niderlandczycy i Amerykanie; w Niemczech wykazaćby można tylko Saksonią, księztwo Baden i Oldenburg; czy zaś i reszta Niemiec weźmie się szczerze i gorąco do reformy więzień i polepszenia bytu i przyszłości więźniów, o tém zdaje się że myśleć nie można w chwili, któréj jedyném hasłem jest ciągle jeszcze apoteoza czynów i tryumfów zeszłorocznych. Tém serdeczniéj za to ucieszyła nas skromna ale szczera, serdeczna rozprawka, jaką spotkaliśmy w czasopiśmie niemieckiém: *Deutsche Warte.*

Autor rozprawki (H. Bartling) zachęca swych rodaków, ażeby z powodu zbliżającego się kongresu wzięli się tym razem nieco gorliwiéj do sprawy więzień, bo dotychczasowa opieka nad więźniami, nad ich stanem moralnym, nad przyszłością i całém w ogóle ich pożyciem istnieje albo tylko w teoryi i aktach różnych komissyj, albo ogranicza się na konstrukcyi gmachów i lochów więziennych bez względu zgoła żadnego na charakter i na los ofiar marniejących bez celu i pożytku dla społeczeństwa po tych wykwintnych lochach. Komu się zdaje (mówi autor pomienionéj rozprawy), że malując obecny stan więźniów można w czémkolwiek przesadzić, niech otworzy znakomite dzieło zmarłego ministra sprawiedliwości w Hollandyi, van der Brugghena, i niech przeczyta, co mówi ten światły mąż stanu, prawnik i filozof o jednéj ze swoich wycieczek, jaką odbył po więzieniach krajowych. Człowiek ten, oswojony od mała z widokiem więzień i więźniów najrozmaitszych, powiada ze zgrozą: „Z tego, na co moje oczy i moje serce kiedykolwiek patrzeć musiały, dotykał mnie zawsze najboleśniéj zupełny brak wszelkich poznak życia ludzkiego po tych grobach wykwintnych, zwanych szumnie „salami,” po tych nowożytnych katakumbach, w których jęczało bez celu kilkaset istot ludzkich, zaciśniętych w głuchych celkach trójpiętrowéj galeryi. Nic mnie też bardziéj nie wzruszyło, nic tak melancholicznie nie podziałało na mój umysł, jak głuchy, grobowy śpiew jakiegoś psalmu, dobywający się z nawpół otwartych celek tego wielkiego grobu, zmięszany ze smętnemi akordami organku, umieszczonego w jednym z ciemnych zakątków téj sali ponuréj. Wrażenie moje było tém boleśniejsze, kiedym po wysłuchaniu téj nuty grobowéj zaszedł do jednéj z cel, w któréj ujrzałem kobietę, w gorzkich łzach tonącą...”

I niech się tu nie zdaje komu, że to są złoczyńcy, zasługujący niejako słusznie na kary doczesne. Nie; ta myśl nie do nas należy—to rzecz sądów kryminalnych — obowiązkiem zaś naszym jest patrzéć na te istoty jako na ofiary błędu, nad któremi litować się należy z całego serca, i które wreszcie zasługują tak dobrze jak i inni na współczucie i pomoc chrześciańską.

Czy kongres powszechny jest rzeczą konieczną o tém pewno nikt już dzisiaj nie wątpi; owszem, potrzeba takiéj powszechnéj wymiany myśli staje się z każdym dniem naglejszą, ile że każde z państw osobnego trzyma się systemu, nieoglądając się bardzo na to, co się dzieje gdzieindziéj. Najcięższą, najbardziéj karygodną wadliwością więzień tegoczesnych jest to, że cała myśl, cała usilność kręci się jedynie około celów błahych, zewnętrznych, na oko bardzo pięknych i złudnych — około karności w więzieniach, około zarządu i coraz to nowych a misternych i kosztownych pomysłów budowlanych, których jedynym celem zdaje się być owa nieludzka myśl, jakby tam jeszcze subtelniéj a dokuczliwiéj dać się we znaki biednéj ofiarze, stworzonéj jakby na to, tylko, ażeby dogadzać pomysłom i fantazyi dowcipnych architektów. Czegóż-bo nie próbowano w tym względzie! Owe potworne systemy celek pentagonalnych, hexagonalnych, oktagonalnych — owe puste i gołe groby, zwane celkami,

i patrzone nibyto okienkami umieszczonemi w suficie, kolorowanemi prześlicznie ale niedopuszczającemi ani jednego promyka słonecznego, by o téj rozkoszy odmówić biednemu pokutnikowi— owe wspaniałe, kosztowne dziedzińce z krużgankami dyablego pomysłu, po których jak martwe posągi przechadzają się pojedyńczo więźniowie, nie widząc prócz muru i krat żelaznych żadnego ludzkiego oblicza — owe lochy karne, w których połowa życie sobie odbiera — owe żelaza, chłosty, deptaki i korby — owe systemy przekarmiania i głodzenia — owe systematyczne przepędzenia po ulicach miasta — owe nakoniec szumne tirady i tomowe traktaty i referaty o pomyślnym jakoby stanie więźniów — nie dowodziż to wszystko wyraźnie, że nasz wiek XIX w kwestyi więzień i więźniów liczy sobie dopiero XIV wieków?....

Już to w sprawie systemu celkowego i zarządu dyscyplinarnego najwięcéj wrzawy robili i robią ciągle jeszcze Amerykanie. Czém jest, na czém polega i do czego prowadzi ten okrzyczany „zarząd dyscyplinarny,” o tém kongres powiedzieć nam musi szczerą i rzetelną prawdę. Boć to, co tam Amerykanie nazywają „dyscyplinarnością,” znalazłoby się podobno także i w Europie, mianowicie w Anglii, Francyi, Austryi i niektórych częściach Niemiec. Chodzi tylko o to, czy dotychczasowa administracya jest wystarczającą? czy nią uwzględniamy także charakter, serce, umysł i przyszłość więźnia? czy ma mieć nadal ze zbrodniarzem tylko czy też z człowiekiem do czynienia, z istotą, któréj obowiązkiem jest przecież spłacać nam długi swojego błędu.

I w saméj rzeczy, od chwili, w któréj błysnęła pierwsza myśl godziwszego zaopiekowania się nie już więzieniami ale więźniami samymi, od téj eż chwili poczęły się kłopoty rządów, co począć z tą nową ideą, jak ją ugruntować i w jaki system przyobléc. Dziwić się trzeba doprawdy, że po wielu próbach i po liczniejszych jeszcze niepowodzeniach, to w tym to w owym kierunku, nie chwycono się pomiędzy innemi np. systemu Williama Croftona, przyjętego w całéj Irlandyi i wielu miejscowościach Irlandyi i Anglii, a zalecanego gorąco przez takie powagi jak Holtzendorf, Mittermeier, von der Brugghen. Zamiast brać to przedewszystkiem, co już ma niejaką przeszłość za sobą, co wytrzymało niejednę próbę, szukamy ciągle jeszcze jakiegoś tam wzoru arcydoskonałego, którego zapewne nigdy nie obaczym, a więźniowie tymczasem pędzić będą swój żywot dawny.... Nacóż rozpraszać i umysł i pieniądze za ideałami i projektami niepochwytnemi, kiedy wzory doskonałe leżą tak blizko? Nacóż staczać bezpożyteczne i śmiechu godne harce o system *gromadnego* czy też *jednostkowego* odsiadywania kary? Nacóż łamać sobie głowę nad tém, jakby tam udoskonalić do potęg ów system celkowy potępiony już dzisiaj przez wszystkich statystów; jak odosobnić więźnia od reszty pokutników jak mu dać uczuć jego winę i gnieść mu serce i umysł ustawicznym wyrzutem sumienia, ustawiczną rozpaczą i melancholią, kończącą się zwykle samobójstwem albo obłąkaniem, — nacóż mówię silić się bezpożytecznie i brutalnie na te dosyć nędzne pomysły, kiedy widzim już pewne korzyści w tak zwanym *próbowo-przejściowym* systemie Croftona sasądzającym się na tém, że więzień po pewnym czasie pokuty przechodzi rodzajem próby do innéj, a w razie widocznéj poprawy do coraz to łagodniejszych kategoryj kary więziennéj?

W Bawaryi chwycono się innego systemu:—po pewnym przeciągu czasu, po latach wzorowego sprawowania się wypuszczają więźnia *sposobem próby* na niejaki czas z więzienia, pozwalając mu szukać w kraju utrzymania. Myśl zaiste wyborna. Ale w gruncie przedstawia się to trochę inaczéj. Więzień taki uzyskuje wprawdzie wolność na czas niejaki, ale wolność ta skrępowana jest tak dokuczliwą kontrollą ze strony policyi, tylu formalnościami, kompromitującemi każdy krok więźnia, tylu przeszkodami niepozwalającemi zarobić sobie na kawałek chleba, że więzień albo wraca z dobréj woli do więzienia albo nowego dopuszcza się występku.

Z wyjątkiem jedynego systemu Croftona wszystkie dotychczasowe systemy okazały się niezmiernie wadliwemi. Ani system *gromadny* ani *celkowy* nie usuwają przykrego stanu więźniów. Pierwszego już się dawno wyrzekły wszystkie rządy, ale i ów system celkowy, zachwalony tak gorliwie przez ludzi interesowanych nie prowadzi do celu, ponieważ mu brak przedewszystkiem jednego przymiotu—sprawiedliwości! Możnaż go stosować bezkarnie do dzieci 12-to i 15to letnich dla których samotność monotonia i brak światła słonecznego najstraszliwą jest karą? Możnaż go stosować bezkarnie do starców, kobiet, kalek, osłabionych głodem i niewygodą, wyniszczonych fizycznie i moralnie, niezdolnych wytrzymać takiéj kary ani roku jednego. Zamknięcie kilkomiesięczne albo kilkotygodniowe nie jestże dla wieśniaka i wyrobnika bez wykształcenia bez myśli, bez refleksyi, bez żadnéj zgoła pomocy, daleko dotkliwszą i straszniejszą karą, aniżeli dla człowieka z wyższego stanu, umiejącego czytać i zająć się jakbądź swoją osobą, dla którego nawet odosobnienie od świata i ludzi jest nawet pewnym rodzajem ulgi i pożądaném schronieniem przed strasznem obliczem świata? Człowiek taki znajdzie w sobie materyał do zabicia czasu i myśli gniotących—lecz wieśniak? wyrobnik? w czémże ich ucieczka, w czém pociecha, w czém pogoda myśli?... Nie należałożby tu właśnie pomyśleć raz już nad tém jak zrównoważyć te ogromne różnice, utajone w jednymże systemie? Co dla jednego jest ulgą, nie jestże dla drugiego prawdziwém męczeństwem, wiodącém prawie zawsze do samobójstwa lub obłąkania? To punkt, to rdzeń szkodliwéj wadliwości systemu celkowego! Mięszany system Croftona, jednoczący w sobie gromadne i celkowe kary, zdaje się być jedynym jak nateraz punktem wyjścia z tego smutnego dylematu. Ale jak nie sam pacierz jest jedyną drogą do zbawienia, tak też i system Croftona żadnych nie wyda owoców, jeśli go nie oddamy w ręce ludzi nie polujących na teoryą ale zdolnych zająć się czynnie i przykładnie swojém zadaniem. Nie dosyć jest pamiętać o wygodach więźnia, niedosyć pamiętać nawet o dawnych potrzebach jego, niedosyć zwoływać napomoc wszystkie systemy i teorye naszych statyków i filantropów ludzkości: tu należałoby przedewszystkiém zacząć od tego, ażeby i więzień sam brał niejako udział w polepszeniu bytu swojego, ażeby wiedział sam także o sobie i o tém, że ludzie krzątają się około niego w zamiarze przyniesienia mu ulgi rzetelnéj i pomocy zdolnéj pocieszyć i podnieść go z upadku. Rozbudzić w umyśle więźnia gorącą myśl i żądzę wolności; ukazywać mu przyszłość w barwach dających rękojmię bytu rzetelnego pomiędzy ludźmi, których się ukrzywdziło; podtrzymywać otuchę i nadzieję moralności, nieomieszkując przedstawiać mu téj ostatniéj jako skarbu, którego bezkarnie porzucać niewolno: słowem budzić i rozwijać ideę *poprawy*, to zadanie, to pomysły, to cel systemu więziennego. Nie o *strach*, nie o *karę*, chodzi, nie o *grozę*, nie o *dręczenie* wyrzutami sumienia: lecz o *poprawę*! Zaiste, kongres tegoroczny będzie miał zacne i szczytne zadanie do spełnienia, jeżeli w saméj rzeczy będzie tém, czém być przyobiecuje—kongresem *powszechnym*, a więc zebraniem poważném, seryo rzecz biorącém, zdolném odrzucić i potępić raz na zawsze skamieniałe systemy przeszłości, które jak kamienie młyńskie wloką się jeszcze u nóg naszego stulecia.

## ROZMAITOŚCI.

— Jaskinia Monsummano w Toskanii w dolinie Lukka-Pizańskiéj niedaleko Pistoi leżąca zaczyna słynąć jako miejscowość uzdrawiająca podagrę. Jaskinia ta odkryta przed 30 laty przy dobywaniu kamieni. Od tego czasu odwiedziło ją tysiące podagrycznych, a żaden nie wyszedł bez polepszenia zdrowia. Dość jest 8 dni przebyć w jaskini, by doznać wyzdrowienia. Żadna z dotychczasowych kuracyi nie trwała dłużéj nad dni 14. Przyczyna wpływająca dobroczynnie na stan zdrowia podagryków nie znaną jest dotychczas. Temperatura powietrza dochodzi w niektórych częściach groty od 26 do 27 stopni Reaumura, jest więc czasem niższą niż wolnego powietrza. Woda w jaskini jest naturalnie jeszcze chłodniejsza od powietrza.

— Doktór Henryk Mahler, otrzymał podobno przywiléj na urządzenie akwaryów w Petersburgu, Odessie i Rydze na przeciąg lat 20. Naukowo-techniczną częścią przedsięwzięcia kierować będzie doktór Brahm z Berlina.

*Sprostowanie.* W numerze piątkowym, na str. 158 w wierszu 7 od dołu, zamiast *Karolu IV*, powinno być *Karolu W*.



Panu **Józefowi Ross.** O nadesłanie artykułu upraszamy;— szczegóły wydawnictwa o którem pan wspominasz, w swoim czasie przez pisma ogłoszone zostaną.



**Wydawca,** Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Февраля (4 Марта) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.